

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 82.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, $\frac{8}{20}$ kwietnia 1861.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

Józef Drzewiecki (z drzeworytu). — Kronika tygodniowa. — Koń, poezja. — Nowe okno ze szkła kolorowego w katedrze janojskiej (z drzeworytu). — Ubiory polskie (z drzeworytu). — Zamek odrzykoński (z drzeworytu). — Prolog do dramatu pod nazwiskiem „Królowa Jadwiga”. — Kalwaria zebrzydowska (z drzeworytu). — Szachy i Rebus. — Podróżny i sierota, dialog. — Słachcie Hołota, obrazek obyczajowy (dokończenie). — Osieł i konie, bajka. — Korespondencya od redakcyi. — Doniesienia.

Józef Drzewiecki.

Józef Drzewiecki prowadził dalej dzieło Tadeusza Czackiego, opiekował się osieroconą po nim młodzieżą krzemieniecką i miastem, które wybrukował i ozdobił; był pełnomocnikiem spółki handlowo-żeglarskiej w Odessie, założonej z podniety Czackiego przez obywateli wołyńskich, podolskich i ukraińskich; przyjmował czynny udział w wypadkach współczesnych, poświęcając całe długie życie usług publicznej; wreszcie zostawił nam przeszliczne pamiętniki, uzupełnione i wydane przez J. I. Kraszewskiego w Wilnie 1858 roku, zład tytuły jego do czci i pamięci ziomek.

Chociaż posiadamy portret Drzewieckiego, przedstawiający go w kwiecie młodości, w mundurze szefa batalionu, z kąd mu został tytuł na całe życie, jednak dajemy pierwszeństwo temu, co go wyobraża w późnej już starości. Chcemy przez to wyrazić, że nie tylko głośniejsze, publiczne życie tego męża godne jest uznania, ale że całe pełne znacności i wysokiej obywatelskiej zasługi, płońło nieprzerwanie dla dobra powszechnego, dopóki ogień co je ożywia, nie wygorzał zupełnie, póki siły nie wyczerpały się i zdolności nie usnęły; a było to dopiero razem z jego zgonem. Tak całe życie przyniosł w ofierze na całopalenie.

Józef Drzewiecki urodził się 1772 r. na Wołyniu, w powiecie krzemienieckim, we wsi Juszkowcach, gdzie mieszkali podówczas rodzice jego, Felicyan i Anna z Błędowskich Drzewieccy. Ojciec jego, podobnie jak przodkowie, wysługiwał się obywatelstwu, sprawując różne powiatowe urzędy; a że i sam był majątny, i po żonie wziął znaczny posag, i po bracie swoim, szędzim krzemienieckim, odziedziczył bogatą puszczynę, więc prowadził dom otwarty i przyjmował u siebie ze szczerą staropolską gościnnością. I w innych, ważniejszych względach pilnie przestrzegano w domu Drzewieckich starych zwyczajów, zład i późniejszy pan szef przejął je tradycyjnie i w całym swoim życiu święcie chował. Lata dziecięce spędził w ubiorze karmelity, przerobionym z habitu ks. Marka; pobożny zwyczaj przodków naszych, sądzących że taka suknia zasłoni dzieci od złego. W dziewiątym roku życia oddany został do szkół krzemienieckich, gdzie z początku niewiele mógł skorzystać, jako w czasach przejścia od metody i nauczycieli jezuickich, do nowszych wyobrażeń. Po zniesieniu zgromadzenia pozostali niektórzy exjezuici przy szkole,

lecz ci z oporem stosowali się do rozporządzeń akademii krakowskiej, zalecającej ulepszyć wykład nauk, osobliwie też języków, które były zaniedbane. Wkrótce akademія zaczęła przysyłać swoich wychowanców, uzupełniając liczbę starych nauczycieli. W pończochach i trzewikach, z wiewającymi płaszczykami, których pelerynki wiatr unosił w rączy mazure, obudzali podziwienie nowi profesorowie, chmurzyli się surowi patres, lecz obywatele prędko się oswoili z tą nowością i chętnie ich przyjmowali w towarzystwach, a nowy, staranny wykład zjednał im serca młodzieży. Drzewiecki, zaszczycony najprzód srebrnym, a potem przy wyjściu złotym medalem, chlubnie ukończył szkoły.



JÓZEF DRZEWIECKI.

(Rys. Polkowski, ryt. w drzeworytni Tygodnika.)

Ledwie wrócił do domu, wypadki wprowadziły go na widownię życia publicznego. Roku 1792 dano narodowi do potwierdzenia ustawę i w tym celu zebrano sejmiki w Krzemieńcu, pod przewodnictwem jego ojca; ale ten, niedawno przedtem sparaliżowany w usług publicznej, nie mógł mówić, więc 18-letni Józef mówił za niego. Ważność chwili i zadania, schorzały ojciec, co stracił zdrowie na usługach krajowych, liczne zgromadzenie, takie na młodzieńcu

zrobiły wrażenie, że mówił uniesiony zapalem i mowa jego pociągnęła słuchaczy tak, iż jednogłosem obrali go delegowanym na uroczystość obchodu pierwszej rocznicy ustawy rządowej 1792 r. Brat starszy odwoził go do Warszawy, którą miał widzieć poraz pierwszy, Breza przedstawił go królowi, który przyjął młodego posła z życzliwą względnością i zachęcał do pocziwego obywatelskiego życia, jakie z nowych praw rozwijać się zaczęło. Poważny senat, który w młodzieńczej wyobraźni równał z senatem rzymskim, ruch umysłów w całym podniesiony kraju, dziennik Niemcewicza, „Gazeta narodowa i obca“, którą z Tad. Mostowskim i Józefem Weissenhofem wydawał, widowiska teatralne, śpiewy narodowe, uprzejme przyjęcie ze strony króla i znakomych osób; wszystko to podnosiło uniesienie i młody delegat nie posiadał się z radości, czując się jednym z aktorów tak wielkiej sceny. Całą duszą pragnął spełnić swoje obowiązki i odznaczyć się chlubnie wymową i dobrami chęciami.

Po powrocie z Warszawy, zdał sprawę współobywatelom ze swego posłannictwa. Dziękowano mu, wszędzie przyjmowano życzliwie i na znak dalszego zaufania obrano kommissarzem cywilno-wojskowym, polecając mu dawać palety cofające się ku Bugowi wojsku polskiemu, przeprowadzać je i wskazywać stanowiska. Gdy przeszło, i obywatele poczęli się wynosić do Galicyi, i Drzewiecki z ojcem wyjechali tamże do Podkamenia. Tu spotkali księdza Marka. „Nie był to fanatyk i prorok, za jakiego brano go, owszem był to człek rozsądny i gorliwy; dzielił nasze pomieszkanie, przewodniczył w modlitwie, udzielał rozsądnych rad żądającym, ale nie w tém nadzwyczajnego nie było.“ Przed usunięciem się z Krzemieńca, stosownie do polecenia, Drzewiecki odesłał pod opiekę wojska pieniądze, które jako kommissarz miał na jego potrzeby; przyjął je pułkownik Pakosz, zabity potem pod Włodzimierzem. Gdy działania wojenne przerwane zostały i były kommissarz powrócił do dóbr swych na Wołyniu, konfederacya targowicka rozpoczęła sądy w Dubnie i jemu stawić się kazała, dla zdania sprawy z użycia wspomnianych wyżej pieniędzy. Summa była znaczna, a ten co ją przyjął już nie żył. W tak trudnym razie udał się Drzewiecki do księcia Michała Lubomirskiego, w którego komendzie służył Pakosz; i jakże się ucieszył, gdy pieniądze przezeń dostawione znalazły się w całości. Pewny już siebie, stanął przed kommissją i śmiało odpowiedział, że jako rzeczywisty urzędnik, wyborem obywateli zaszczycony, przychodzi nie tłumaczyć się, ale tylko poinformować; więc nie na ławie obwinionych, lecz odpowiednio do swego urzędowego charakteru zażądał miejsca. Zajął je i energicznie zdał sprawę samej kommissji co go sądzić miała, wytykając nieprawne ustanowienie się. Przytomny temu książę

Czartoryski z Korca uściślał go serdecznie i zewsząd w izbie otaczano go i winszowano. Młody obywatel nabięrał rozgłosu i wziętości; że jednak miał i niechętnych, z porady ojca usunął się na czas jakiś do Galicji. Tam z powodu interesów majątkowych zabrawszy bliższe stosunki ze sławnym adwokatem Bienkowskim, zwidził z nim razem Karpaty, wodospad Prutu i skały Doboszwowe; śpiew górali przez echa gór powtarzany, ich zajęcia, wyroby, kraj, wszystko zachwycało naszego podróżnego i w lat kilkadziesiąt jeszcze pięknym znaczyło się wspomnieniem w jego pamiętnikach. Cierpienia schorzałego ojca powołały go na Wołyn, a gdy starzec wkrótce umarł, obarczony smutkiem Józef, spełniwszy obowiązki dobrego syna, powrócił do Galicji i zajął się gospodarstwem.

Życie ówczesne byłodziwniezmienne, to bolesne przynosiło klęski i zawody, to znów pocieszało nadzieją. W żywym charakterze Drzewieckiego odbijały się wszystkie współczesne wrażenia i myśl jego ulatywała daleko. Za myślą i sam podążał: najprzód do Lwowa, potem do Warszawy; wreszcie razem z Kniaziewiczem przez Wiedeń, Karlsbad i Frankfurt nad Menem wjechali do Francji, zład przez Nancy i Szwajcaryą udali się do Włoch, aby się tam połączyć z generałem Dąbrowskim, który już wtedy okrył się sławą. Po drodze spotkali jego żonę z dziećmi, i razem dalszą odbywali podróż aż do Mediolanu i Bolonii, wreszcie sami przybyli do Wenecji, gdzie Drzewiecki wstąpił do legionów i otrzymał drugi batalion, którego został szefem.

Pan szef wyborną miał pamięć i chociaż wspomnienia z lat młodości spisywał już w starości, jednak przywodził wiele ciekawych szczegółów współczesnych. Prawie z każdego stanowiska jakiś opis, bo stapał po ziemi usypaną pamiętkami sławnej przeszłości, które poznać pragnął; coraz maluje jakąś znakomitość współczesną, osobliwie też polskie, i to jakby wyczuł z obson powagi urzędowej i znaczenia, przeto tem łatwiej uchwycić właściwy charakter osób. Wołyn od wszelkiej próżności, szczerze opowiada co sam widział, lub przytacza co od drugich słyszał. Opowiadanie majora legii Chamana o Kniaziewiczu, o początku legii; zdarzenie z Zajączkiem zwidzającym koszarę; uzyskanie w Lorecie chorągwi Mahometa, niedługo przez Jana III zdobytej i pałaza tego rycerza... są to rzeczy bardzo ważne; możnaby je prawie wprost wpisywać w kronikę ówczesnej epoki. I miłośnicy lżejszego czytania znajdując w Pamiętnikach Drzewieckiego wiele zabawnych ustępów, n. p. o pani Pandolinie Szeripanti, o Dziurbasie i t. d. Wszystko to opowiada się bez pretensyj literackich, choć z wysoką literacką zasługą, epoka ubiegła a pamiętna odświeża się żywo i prawdziwie. Najważniejszą, według nas, a tak rzadką, osobliwie u starych, zaletą pana szefa jest, że opowiada przeszłość szczegółowo, prosto i szczerze jak była, z jej dobrą i złą stroną; dobra strona przemagała, więc też jej więcej w obrazie, lecz nie bierze z tego pobudki do strofowania i gorzkiej przygany dla młodszego pokolenia. Wierzy, że wśród tajemnej duchowej spowiedzi porówna się z przodkami i samo wyrzecz nad sobą cichy, lecz sprawiedliwy sąd. Może po sądzie owym będzie i żal, i gorąca chęć sprostania ich zasługom, ale może też będą i pobudki do ufności w siebie. Czyni to krzywdę młodszym, gdy im wciąż się powtarza, że nie nie wari, że cnoty wymarły i gdy ustąpili ludzie zaci, ziemia staje się pustą — a przyszłość wątpliwa.

Po zawarciu pokoju w Campo-Formio, 17 października 1797 roku, zniechęcona tem legia odprowadzona została przez Kniaziewicza do Rimini, gdzie miała oczekiwać dalszego przeznaczenia. Wskazywały jej same okoliczności. Gdy mimo zawarty pokój, ludność włoska niechętnie znosiła opiekę francuzką i próbowała oswobodzić się z pod niej, legia zajmowała warowniejsze miejsca, jak St. Leon, Urbino, nawet Rzym, musztrowała się na placu kapitolńskim i kwatrowała w marmurowych jego pałacach. Drzewiecki ciekawie o tem wszystkiem podaje szczegóły. Wkrótce, gdy Neapol wypowiedział wojnę Francji, i 80,000 Neapolitańczyków zbliżyło się ku Rzymowi, legia ujrzała się w wielkim niebezpieczeństwie, prędko jednak nadciągające wojska francuzkie pod dowództwem Championneta, zmieniły postać rzeczy. Neapolitańczycy, pokonani, zgodzili się na zawarcie pokoju 23 stycznia 1799 r., o którym zawiadamiając swój rząd, Championnet posłał mu wielką ilość chorągwi i trofeów zdobytych. Zaszczyt złożenia ich dyrektoriowi przyznany został tym, co się najwięcej odznaczyli walecznością, osobliwie przy uporczywym szturmie Neapolu: wybrani do tego zostali Kniaziewicz, Drzewiecki, Kossecki i młody Dąbrowski.

Z trudnością przebywszy wzburzone Włochy, w których wszystkie drogi zapełniały bandy powstańcze i rozbójnicze, dostali się do Paryża. Tu przedstawili się członkom rządu, posłom zagranicznym i Kościusz-

ce, któremu przywieźli pałasz Jana III wzięty w Lorecie, na placu publicznym, wśród niezliczonego tłumu widzów uroczystie złożyli zdobyte trofea. Ich odrębny, a bardzo okazały strój wojskowy, młodość i rycerska postawa niezmiennie się podobały. Przy wejściu huuczne towarzyszyły im oklaski, a potem przyjęciem, ucztom, obietnicom nie było końca. Czekając na spełnienie tych obietnic, zostali w Paryżu, i Drzewiecki podaje wiele ciekawych wiadomości o ówczesnych wypadkach, na które sam patrzył, osobliwie zaś o Kościuszcze, który go lubił i szanował swym zaufaniem.

Gdy Kniaziewiczowi poruczono tworzenie legii nadunajskiej, Fiszer i Drzewiecki użyci byli do zakładania jej zawiązków; pierwszy poświęcił się administracji, drugi musztrze i dozorowi koszar. Brak funduszy stawiał ich nieraz w najprzykrejszym położeniu, żołnierze byli źle odziani, bosi, marszerując kalczyli nogi. Raz w marszu, gdy się domagano obu, a dostarczyć go było niepodobna, szef własne oddał buty najniecierpliwszemu i kazawszy muzyce grać, ochotczo prowadził swój oddział. Krew zboczyła mu nogi, buty zwrócono i szemrania ustały. Z czasem jednak zaradono temu niedostatkowi, i legia, włączona do korpusu niższego Renu, odznaczyła się pod Frankfurtem, Offenbachem, a szczególnie pod Hohenlinden. W literalnym znaczeniu słowa bieżono w skok od zwycięstwa do zwycięstwa, dopóki tego chlubnego pochodu aż pod Wiedniem nie wstrzymał pokój w Lunewilu, 9 lutego 1801 roku. Drzewiecki w ciągu tej wojny znajdując się ciągle w przedniej straży, miał zaszczyt przybiegać przed innymi na zdobywane stanowiska.

Po zawarciu pokoju, odprowadził swój batalion przez Szwajcaryą do Mediolanu, gdzie się złączyły obie legie; zład część ich, gdzie był Drzewiecki, przeznaczona do Florencji pod komendą Murata, stanęła załogą w główniejszych miastach tokańskich. Drzewieckiemu dostała się Sienna, którą mianowany komendantem placu. Ponieważ i zajęcia nie było wiele, i jeszcze mniej widoków na przyszłość, myślał tedy o wyjściu ze służby, do czego skłonił i Fiszer, z którym wzięwszy tymczasowe uwolnienie od służby, zwidzili Rzym, w nim przedstawili się papieżowi Piusowi VII, potem Neapol, Herkulanum, Kazertę, spuszczali się w krater Wezuwiusza i szczęśliwie wrócili do swych komend.

Gdy następnie Toskania ogłoszona została królestwem Etrury i legia miała być zamieniona w gwardyę nowego króla, oburzeni oficerowie, nie chcąc stać się jakimiś najemnikami, brali dymisy, w ich liczbie i Drzewiecki. Rada administracyjna legii, za zezwoleniem ministra wojny Bertier, wydała mu najpiękniejsze świadectwo; także otrzymał od zarządu legii pierwszeństwo, w której początkowo służył — i ze smutkiem pożegnawszy towarzyszków broni, puścił się do kraju, który powszechna amnestya czyniła otwartym. Drogi odbywał razem z generałem Kniaziewiczem przez Szwajcaryą, Drezno i Warszawę, gdzie dłużej zabawiwszy i odnowiwszy dawne stosunki, wrócił na Wołyn do chorej sędziwej matki i rodziny.

Tu się zaczyna drugi, cichy ale może jeszcze ważniejszy zawód w życiu Drzewieckiego, zawód życia rodzinnego i obywatelskiego, któremu oddawał się chętnie, całkowicie i wytrwale, nie nużąc się i nie zrażając trudnościami. Jako dobry syn, niósł ulgę schorzałej matce; przytaczają ze nieraz, gdy sam woził ją w krzesło na kółkach, niecierpliwa staruszka laską udzielała mu napomnienia, które znosząc cierpliwie, rozbrajał jej gniew i wywoływał pochwały, że choć szef, najpowolniejszy ze wszystkich jej dzieci. Gdy następnie wszedł w związki małżeńskie z siostrą swego towarzysza broni Jana Ostrowskiego, przybyły mu nowe obowiązki względem matki i babki swojej żony, które wypełniał z równie budującą synowską uległością.

Okolo tego czasu, poczynając od roku 1803, niezapomniany Czacki przedsięwziął zbieranie ofiar na ulepszenie szkół w trzech południowych guberniach. Scisła przyjaźń łącząca go z Drzewieckim, też same uczucia obywatelskie i światłe pojmowanie potrzeb krajowych, jeszcze więcej ich zbliżyło w stanowczej chwili czynu. Obadwaj objeżdżali zjazdy i domy obywatelskie, pokrewieństwem, stosunkami, wymową i własnym przykładem zachęcali do ofiar, i przy tak żarliwym usiłowaniu uposażenie szkoły wołyńskiej niezadługo zostało zapewnione. W pozostałych po Drzewieckim papierach, wiele było korespondencyj Czackiego, żądającego to dukatów sposobem pożyczki, to przypominającego uzyskanie biblioteki od księżny Teofili Sapieżyny, to innych ofiar pieniężnych, to drzewek owocowych, wszystko dla ulubionej szkoły, którą sam całkowicie zajęty, składał część brzemienia i na Drzewieckiego, przekładając mu, „że ich przyjaźń warta znoszenia niedogodności.“ I musiał chętnie odpowiada-

dać Drzewiecki tym zobowiązującym wezwaniom przyjaciela, gdy ten w jednym ze swych listów pisał: „Nikt więcej nie może być delikatnym, jak jesteś ty; umiesz uprzedzać przyjaciół, wiesz że pragnę tobie stać się „podobnym.“ I mieszkając blisko, a potem w samém mieście Krzemieńcu, żyli w stałej, jednakiem poświęceniem spojonej przyjaźni.

Może aby powiększyć możliwość obywateli, do której tak często przychodziło się odwoływać, postanowili zawiązać spółkę handlową w Odessie. Miała ona pośredniczyć między producentami krajowymi i kupcami zagranicznymi, i w tym celu w Odessie zbudowano magazyny, do których obywatele odstawiali swe zboże, a zamtad spółka sprzedawała je kupcom zagranicznym, lub na własnych okrętach rozwoziła na znaczniejsze targi europejskie. Tak pierwszy jej okręt kupiecki, nazwany Tadeusz Czacki, naładowany zbożem, odpłynął 9 lipca 1803 roku z Odessy do Triestu. W spółce przyjęli udział najznakomitsi obywatele z gubernij południowych, a Drzewiecki, jako człowiek wymowy łatwej, zacności wielkiej, pociągającego charakteru i dobrze znający obce kraje, postawiony został na jej czele.

Rozszerzając zakres swych działań, kompania postanowiła spławiać zboże po Dniestrze, na zbądanie którego Czacki już pierwszy wiele pracy i kosztów wyłożył. Najeto flotę statków rzecznych, przez Józefa II na górnym Dniestrze zaprowadzonych, naładowano je pszenicą w wyższym Podolu i szczęśliwie przebywszy straszne dawniej jampolskie porohy, zawinęto do Odessy. To pierwsze powodzenie obchodzono świętym bankietem, na którym przytomny ówczesny gubernator Richelieu, spełnił toast za przyszłą pomyślność miasta, siedząc na worze pszenicy, niezwykłą dotąd przybyłą drogą. Powracająca flotylla naładowana została zakupionymi z tureckiego okrętu różkami, które po dostawieniu na Podole, przepędzono na spirytus. Tak wskazana została nowa droga handlowa, przynosząca sławę tym, co pierwsi ją odkryli, nie zrażając się trudnościami i stratą, droga która już od dawna zapewnia krajowi znakomite korzyści.

Spółka obywatelska w Odessie nie długo trwała. Miasto niedawno założone, nie miało jeszcze dogodnego portu, ani ustalonej opinii targu europejskiego, a spółnicy potrzebnej rutyny i wytrwałości, co by ufała w siebie przebyła czasy niepowodzenia, spowodowane wojną turecką, i potrafiła doczekać się lepszej przyszłości. Chociaż spółka rozwiązała się niewielkie pomniejszając straty, dała jednak dobry przykład obywatelom, którzy odtąd odstawiali swoje zboże wprost do Odessy, bez pośrednictwa przekupniów.

Po ustaniu spółki handlowej, Drzewiecki stale osiadł w domu, używając szczęścia, jakie przynosi ciche życie rodzinne i cześć bliskich a zacnych przyjaciół. Kochano i szanowano go szczerze, bo niezmordowanie na to zasługiwał, jednając sobie serca swoją chętną uczynnością. Zład zostawał w bliskich stosunkach z wielu najznakomitszymi w kraju osobami. Listy ich, jak księcia generała ziem podolskich i jego syna kuratora wileńskiego, Czackiego, generała Kropińskiego, księżny Sapieżyny, Fiszer, Kniaziewicza, B. Giżyckiego, świadczyły ile miano w nim zaufania, jak poważano jego zdanie; zasięgano jego rady, pomocy, opieki nad dziećmi, i za chętną a skuteczną uczynność nazywano bożkiem pokoju, który jego łatwe pojednawcze usposobienie umiało wnosić w stosunki sąsiedzkie.

W 1809 roku pospieszył do Warszawy, aby wejść do wojska, i tylko przełożenie księcia Józefa, że biędniejszym miejsce zabierze, odwołała go od przedsięwzięcia. Powrócił więc do domu, gdzie niezadługo miał przeboleć kilka ciężkich strat, a mianowicie śmierć żony i dwóch serdecznych przyjaciół, generała Fiszer, zabitego w czasie wyprawy 1812 roku i Czackiego, zmarłego w lutym 1813 roku. W skutek tego pobyt w domu stał się dlań tem przykrejszym i jeszcze goręcej pragnął znowu powrócić na większy świat, do usług publicznych; chciał „choć na stróża, byle palić w polskim piecu.“ Ale przyjaciele, będący, jak to mówią, bliżej wielkiego ołtarza i widzący lepiej stan rzeczy, odradzali mu to, osobliwie Kniaziewicz, przyrzekając wezwać go, jeżeli czas będzie po temu. Nie mogąc osobiście przyjmować udziału w rozkwitającym życiu królestwa, przynajmniej szczerze cieszył się, że jego młody przyjaciel, Fran. Skibiński, znalazł do tego sposobność. W częstych i obszer-nych listach, przesłannych malujących obywatelskie serce Drzewieckiego, opowiada mu własne niedługo nadzieje, podnoszące się i znów upadające; a gdy nastaly czasy przyjaźniejsze, zachęca do gorliwej i wytrwałej pracy, wskazując o co szczególnie się troszczyć. Lecz przyjaciele, mimo jego tęsknoty, nie powoływali go do Warszawy, i lepiej się stało, bo tak zacny i światły obywatel miał pod ręką ważne zadanie do spełnienia.

Po śmierci Czackiego, jego dzieło, szkoła krzemieniecka, upadać zaczęła. Wyjęta z pod opieki obywateli i oddana pod zarząd zwierzchności szkolnej, zajętej i wykładem nauk, i administracją, a w skutek takiego podwójnego zajęcia nie spełniającej obowiązków należycie: szkoła poczęła tracić ufnosć obywatelską. Drzewiecki z własnej gorliwości, jako opiekun dzieci Czackiego, wziął pod swą opiekę i to duchowe jego dziecko; zamieszkał w Krzemieńcu, pojednał nauczycieli i nie szczędził starań, prośb, przełożeń, aby szkołę powrócić urzędnika, obywatela i odnowić związek między ojcami rodzin i nauczycielami. „Bez takiego związku, pisać do Skibińskiego, szkoła traci powagę i energię, nauczyciele zjeżdżają na bakałarzy, a pedantyzm szkolny zajmie miejsce panującego ducha obywatelskiego. Ta świetność, ta pociecha rodziców, te łzy ich z dobrego wychowania dzieci, zeszyły na zimną obojętność... przytomnych wypychałem do sali, aby weszli. Możesz sobie wyobrazić ile smutnych porównań, ile uwag zakręcało serce moje.“

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika tygodniowa.

Wiadomość o śmierci Tytusa hr. Działyńskiego smutny tu znalazła odgłos. Nawet w tych czasach, w jakich żyjemy, kiedy wszelkie potoczne, dawniej wielkiego znaczenia fakty, nikną w obec silniej rozbudzonego życia narodowego, bijącego gorącymi pulsami wyczekiwania, nawet w tej chwili, śmierć takiego człowieka jak hr. Działyński, musiała być przez cały naród, a przynajmniej przez więcej myślącą i inteligentną jego część silnie uczutą i opłakaną. Zmarły należał do tych tak rzadkich u nas na czasy obecne opiekunów myśli i mowy ojczyźnej, którzy z posiadaniem znacznych środków materialnych, łączą umiejętność użycia ich na dobro współobywateli i kraju. Usiłowania jego nie marnowały się, nie były prostymi tylko zachceniami pańskości i mecenasostwa, rozrzucaniami, wprowadzaniem w czyn bez rozmysłu, i topiąciami nieraz na nie wielkie zasoby materialne, któreby lepszy użytek mogły znaleźć... Hr. Tytus Działyński, obdarzony bystrym pojęciem i wysokim wykształceniem, umiał wybierać, umiał działać, znał ludzi, znał potrzeby chwili. Oprócz drogocennych wydań, które skrzętności jego około piśmiennictwa i umiejętnemu wyborowi winniśmy, znaczne skarby naukowe nagromadzone w Kurniku, jasnym są tego dowodem. A nie zamykał on tych swoich skarbów podwójnym kluczem nieprzystępności, jak to czyni wielu, którym chęć popisania się lub fantazja oddały w ręce liczne jakie zbiory, nie trząsł się nad nimi jak skąpiec nad skrzynią zawierającą plon starań całego życia: zbiory kurnickie stały otworem dla wszystkich, co chcieli i umieli z nich korzystać.

Hrabia Działyński utrzymywał liczną i ożywioną korespondencją; wielu z uczonych i literatów warszawskich zostawało z nim w piśmiennych stosunkach. Znam takich, którzy w braku jakiejś koniecznej a trudnej do osiągnięcia wiadomości, udawali się do niego po notatę, po wyciąg, po objaśnienie. I nierzadko zdarzało się, że proszony o wyciąg, przysyłał począć całe dzieło, stanowiące unikat, albo przynajmniej bardzo rzadkie, zaledwie w dwóch albo trzech egzemplarzach w całej Polsce znajdujące się wydanie. Kto zna troskliwość z jaką zapaleni bibliofile pielęgnują nagromadzone staraniem całego życia skarby, ten pojmie, jaką ofiarę stanowiło dla hr. Działyńskiego rozdzielanie się choćby czasowe z ulubioną książką. A jednak czynił on to w sposób ujmujący, zachęcał do zatrzymania dzieła jaknajdłużej, ile tylko potrzeba wymagać będzie, ciesząc się z góry korzyścią jaką literatura wyciągnie z przedsięwziętej pracy.

Ogólniejsze obywatelskie zasługi hr. Tytusa Działyńskiego, jego stosunki z okolicznym i dalszym obywatelstwem, jego działalność jako deputowanego w ks. poznańskiego na sejm pruski, zajęły już swoje miejsce na karcie dziejów naszych nowoczesnych i pozostaną tam niezatartym dla pamięci jego pomnikiem. Tygodnik Ilustrowany pomieści może wkrótce życiorys tego zacnego męża, wraz z jego portretem, i znajduje tam wówczas czytelnicy obszerniejsze i szczegółowsze ocenienie jego zasług dla kraju.

Płenne jakoś w tych czasach jest żniwo śmierci, na kilka dni bowiem przed hrabią Działyńskim, zmarł generał Chrzanowski, należący również do znakomości narodowych. Anglicy, którzy pod względem nauki wojskowej wytrawni są sędziami, umieli nale-

żyć ocenić wysokie wiadomości i ukształcenie wojenne naszego generała, który też długo w ich służbie zostawał i niemało im oddał usług. Generał Chrzanowski pozostawił po sobie kilka dzieł, dotyczących się nowoczesnej strategii i taktyki, które europejskie zyskały uznanie. Wyborny to był organizator i umiał nieraz z bardzo ograniczonych środków najpomysłniejsze wyprowadzać rezultaty. Jeżeli nie zawsze szczęście mu służyło, bo szczęście w działaniach wojennych bardzo ważną stanowi dźwignię, to przecież wszyscy ludzie kompetentni w sztuce wojennej przyznawali mu, że wszystko co było w mocy ludzkiej, robił zawsze dla podniesienia sprawy której służył. Francuzi nazywali go nowoczesnym Catinatem, bo również jak ten słynny pamięci marszałek, łamał się nieraz wytrwale i umiejętnie z losami przeciwnymi, i również piękną i bez skazy pamięć po sobie zostawił. A nazwa ta w ustach Francuzów, tak zazdrośnych swej narodowej chwały, niemałej jest wagi.

Nieraz już mówiliśmy o konieczności oczyszczania Warszawy z przedmiotów powietrze zarażających, ale chcąc nie chcąc musimy ciągle wracać do tego przedmiotu. Jesteśmy właśnie w porze roku najmniej dla zdrowia ludzkiego korzystnej, w porze wiosennego przejścia, a na najgłośniejszych i najbardziej uczęszczanych ulicach Warszawy, dają się czuć wyziewy, które jeżeli przez podwojenie środków czystości usuniętymi nie będą, muszą koniecznie na stan zdrowia mieszkańców szkodliwy wpływ wywrzeć. Obracanie na ten cel funduszy zarządu miejskiego, jest najkonieczniejszą potrzebą, a przy umiejętniej i oszczędnej administracji, fundusze te aż nadto powinny być wystarczającymi do odpowiedzenia wymaganiom, jakie już teraz w każdym porządnym urządzone miasteczku europejskiem są niezbędne. Porządna kontrola zaprowadzona w dochodach i wydatkach, zaradzi wielu niedostatków.

Grosz publiczny jest świętością, bo to owoc trudów i pracy całego ogółu, na widomą więc tylko korzyść i pożytek tego ogółu powinien być obracany. Mija już czas, w którym jakkolwiek zarobiona fortuna słała drogę do pewnej pozycji w świecie. Ludzie niezdolni wykazać czystego źródła zamożności swojej, powinni być stawiani pod pręgierz opinii publicznej, jak to gdzieindziej mięwa miejsce; tylko gdzieindziej tacy ludzie są wyjątkami, a u nas, niestety, zbyt wiele z nimi opinia publiczna miałaby do czynienia. Lecz im trudniejsze zadanie, tem rychlej i gorliwiej trzeba przystąpić do wypełnienia go. Powinniśmy się koniecznie oczyścić z tych grzybów i narostów, które przez pewien czas tak obficie rozrastały się na powierzchni społeczeństwa naszego. Ciemności i kału to owoce, wyprowadzenie na światło wypłenicie je musi, a Bóg dobrotliwy dozwoli, że raz wykorzystane z poczciwego gruntu naszego narodu, znikną już bezpowrotnie.

Teatra postanowiły przedłużyć swój wakacyjny termin, i dobrze zrobiły. Odnawiają się onetymczasem i podobno dyrekcyja myśli o zaprowadzeniu oświetlenia gazem, oraz kilku innych najpotrzebniejszych zmian. Wszystko to dałoby się uskuteczyć, przy znanych dobrych chęciach i gorliwości o dobro publiczne prezesa dyrekcyi.

Co się nigdy prawie u nas nie zdarzało, gazety tułtejsze przepelnione są doniesieniami o lokalach do najęcia; widać że mnóstwo osób wyjeżdża. Obszernych zwłaszcza i zbyt licznych lokalów dużo bardzo stoi pustkami. Właściciele domów trzymają się jeszcze z ceną, ale przyjdzie czas że i oni będą musieli spaść z tonu, bo ochotników do najmowania niewiele jakoś.

Pomiędzy naszą ubogą rzemieślniczą i robotniczą klasą, zachodzi wiele zmian na dobre, które ze skwapliwością notujemy. Ustają owe pijatki i pohulanek, które dawniej powtarzały się co święto, a nawet i w poświętne dni; cechy porządkują się pomiędzy sobą i niektóre bardzo dobre i korzystne zaprowadzają urządzenia.

Pomiędzy innemi towarzystwo czeladników cechu mydlarskiego zaprowadziło w ustawach swoich kilka ważnych zmian, które przytaczamy, dla przykładu innym.

Dotychczas starszy czeladnik tego towarzystwa był zwykłym cudzoziemcem, dzisiaj zaś, ponieważ krajowców liczba jest przegajająca, obrano Polaka na przewodniczącego.

Zwykła składka członków towarzystwa stanowiła 3 złp. miesięcznie, z których złp. 4 gr. 14 szło na fundusz szpitalny i do kasy pogrzebowej, resztujące zaś złp. 4 gr. 16 obracane były na pijatykę i pohulanek, co tworzyło wcale sporą sumę zupełnie zmarnowaną.

Dzisiaj owe złp. 4 gr. 16 otrzymały inne, daleko zgodniejsze z celem składki przeznaczenie. Obracane one będą na wsparcie dla biednej czeladzi mydlarskiej, znajdującej się bez roboty, czego krzyżująca potrzeba okazuje się zwłaszcza w lecie, kiedy fabryki mydlarskie znacznie zmniejszają liczbę swoich robotników. Fundusz ten dołączony będzie do summy zbierającej się ze 400 złp. wpisowego, które każdy czeladnik płaci przy ukończeniu terminu, i powierzony zarządowi starszego czeladnika, któremu dodany zostanie kontroler.

Skutkiem przeważającego dawniej pomiędzy czeladzią mydlarską żywiołu obcego, ustanowionem było, że każdy cudzoziemiec, należący do cechu, mianowicie Niemiec, (bo tych najwięcej tu gościło) miał prawo, jeżeli mu fundusze nie starczyły, co nawiasem mówiąc zwykle miało miejsce, otrzymywać z kasy wspólnej wsparcie przez czas pobytu w kraju naszym. Dzisiaj zgromadzonym pod przewodnictwem Polaka towarzyszom mydlarskim wydało się to trochę niesprawiedliwem; postanowiono więc że wsparcie takie będzie miało miejsce tylko w razie nadzwyczajnego jakiego wypadku, na przykład spalenia, okradzenia lub choroby. Cudzoziemiec zaś zdrowy i nieposzkodowany, niechaj sobie szuka roboty, albo wraca do swojego kraju, zamiast stać się ciężarem naszej ubogiej i tak czeladzi. Postanowienie to uważamy za bardzo sprawiedliwe, bo wymaganiom ludzkości staje się i tak zadość, a zresztą nie odpychamy dobrej chęci i pracy, jak tego nasz kraj liczne dawał już i daje dowody. Ludzi pochodzenia niemieckiego, osiadłych w naszym kraju i zupełnie zespolonych z nami, uważamy za braci, ale trudno żebyśmy jeszcze obmyślali fundusze dla tych cywilizatorów Słowianiszczyny, którzy głodni i źle odziani tu przychodzą, żeby potem wyrzucać nam nasze barbarzyństwo i chwalić się przed światem z dobroczynnego na nas wpływu, który sobie za największą zasługę w oczach Europy poczytują.

Pomiędzy licznymi, bardzo dobrze obmyślanymi urzędzeniami, które towarzystwo czeladzi cechu mydlarskiego w czyn wprowadzać zamierza, jedno jeszcze zasługuje na wzmiankę.

Przy wypisywaniu się na czeladnika było dotąd we zwyczaj, że wyzwalający się płacił różne kary, po to tylko obmyślane, żeby zwiększyć fundusz na jedzenie i pijatykę. I tak, podawano mu do wypicia duszkiem wielki srebrny kielich, obwieszony medalami, mieszczący w sobie zwykle całą butelkę wina. Kielich ten nowy towarzysz musiał duszkiem do dna spełnić, po wypiciu zaś umyślnie wyznaczona ku temu delegacyja wysączała krople, jakie się w kielichu pozostały, a za każdą kroplę niedopitą obżałowany płacił rubla kary, z przeznaczeniem na ogólny traktament. Otóż zniesiono ten zwyczaj, jak również wiele innych, niezgodnych z dzisiejszemi wyobrażeniami o pracy i stowarzyszeniu się. Jeżeli który z moźniejszych wyzwalających się zapagnie dorzucić coś do funduszu ogólnego, nie zostanie mu to wzbronionem, ale pierwszym i głównym przeznaczeniem tego funduszu będzie, jak już powiedzieliśmy, wspieranie ubogich lub bez zatrudnienia zostających towarzyszy.

Postanowiono również, że terminatorom odznaczającym się dobrem prowadzeniem i gorliwością w pracy, dozwala się odtąd uczęszczać na zebrania (nie na narady), ażeby się tam mogli bliżej zapoznać ze starszymi i zacerpnąć od nich dobry przykład, radę i naukę. Tym sposobem na tych ostatnich podwójny ciężar obowiązku unikania wszelkich pozorów zgorzienia i niestosownego zachowania się. Wszystkie te zmiany towarzysze mydlarscy zaprowadzili sami z siebie, na wspólnie naradzie, co dowodzi jaka już u nas w klasie rzemieślniczej panuje dojrzałość i pojęcie własnych potrzeb.

Rozrzucający przykład przywiązania włościan do tych obywateli, którzy rozciągali nad nimi prawdziwie rodzicielską pieczę, miał miejsce w tych dniach na Wołyniu, w dobrach hr. Marcina Tarnowskiego, pułkownika byłych wojsk polskich. Po urzędowem tam ogłoszeniu usamowolnienia włościan, cała gromada ruszyła do dworu, prosząc sędziwego dziedzica, ażeby jak dotąd tak i nadal chciał rozciągać nad nimi ojcowską swą opiekę. Była to zasłużona nagroda za postępowanie z niższymi w prawdziwym duchu chrześcijańskim i obywatelskim, którego hr. Tarnowski, tak jak zresztą i wielu innych szanownych obywateli u nas, w ciągu całego swojego życia dawał dowody. Fakt ten silniej jeszcze utwierdza to, cośmy w przeszłotygodniowej naszej kronice wyrzekli: od nas samych zależy zbliżenie się i zespolenie z włościanami naszymi. Dobry to, pocziwy lud, i łatwo mu trafić do przekonania serdecznym słowem i czynami szlachetnymi.

NOWE OKNO ZE SZKŁA KOLOROWEGO W KATEDRZE JANOWSKIEJ.

W celu upowszechnienia w kraju ozdabiania kościołów oknami ze szkła kolorowego, podczas restauracji katedry w Janowie podlaskim, dawniejszej rezydencji biskupów łuckich, przez księdza biskupa Szymańskiego przedsięwziętej, generałowa Natalia Kicka wymalowała i ofiarowała wielkie okno. Ofiarodawczyni jest uczennicą p. J. Puzyny, który przez długie lata pobytu za granicą, pracował we Francji przy restauracji kościoła St. Germain l'Auxerrois w Paryżu, jako też i innych, przy których, nim wrócił do Warszawy, miał sobie powierzone wykonanie rozmaitych na szkło obrazów.

Pani Kicka, szukając w ojczystych podaniach natchnienia, oszkicowawszy najpierw, według własnego pomysłu, całość okna, wymalowała następnie Zmartwychwstanie Pańskie, Matkę Boską niepokalanego poczęcia, łamiącą strzały sprawiedliwości Boskiej, błogosławionego św. Józefa i św. Kunegundę z lewej strony Zmartwychwstania; po prawej zaś św. Wiktora, św. Stanisława Kostkę i św. Kazimierza, patrona Litwy.

P. Puzyna dopomagał zacnej tej damie nietylko w malowaniu ozdób zamieszczonych naokoło pojedynczych figur, ale nadto brak przyrządów wszelkich i zasobów, zastępował doświadczeniem swym i wielką znajomością sztuki średniowiecznego obrazowania na szkło. Urządził żelazny piecyk, w którym wypalał częściami szkło cały obraz składający i wreszcie oprawił je w olów, a następnie wmurował w katedrze janowskiej, czem rzeczywiście dał dowód prawdziwej biegłości w swej sztuce.

Pod nogami Chrystusa Pana jest pomieszczony napis, jako generałowa Natalia Kicka okno to własną ręką malowała i ofiarowała rzeczonyj katedrze. Po obu stronach napisu, na oddzielnych tarczach, są herby Gozdawa Kickich i Gronicz biskupów.

Rycinę okna tego, zdobiącego katedrę janowską, za stosowne uważamy zamieścić w piśmie naszym.

UBIORY POLSKIE.

Rej, a po nim Górnicki, rozpisywali się nad rozmaitością w ubiorach polskich, a zarazem skłonnością naszych przodków do naśladowania w tém cudzoziemców. Ze wzrastającą potęgą Rzeczypospolitej, w miejsce pełnego

rzali się tak na dworach tych królów, jak między panami polskimi i zamożną szlachtą. Skłonność do okazałości lubowała się w płaszczykach włoskich i hiszpańskich, aksamitnych lub atlasowych, suto haftowanych złotem czy srebrem: do tego *birety* (czapeczki) z piórami upowszechniały się wielce, jako też nieznanie dawniej półbucia bez cholew.

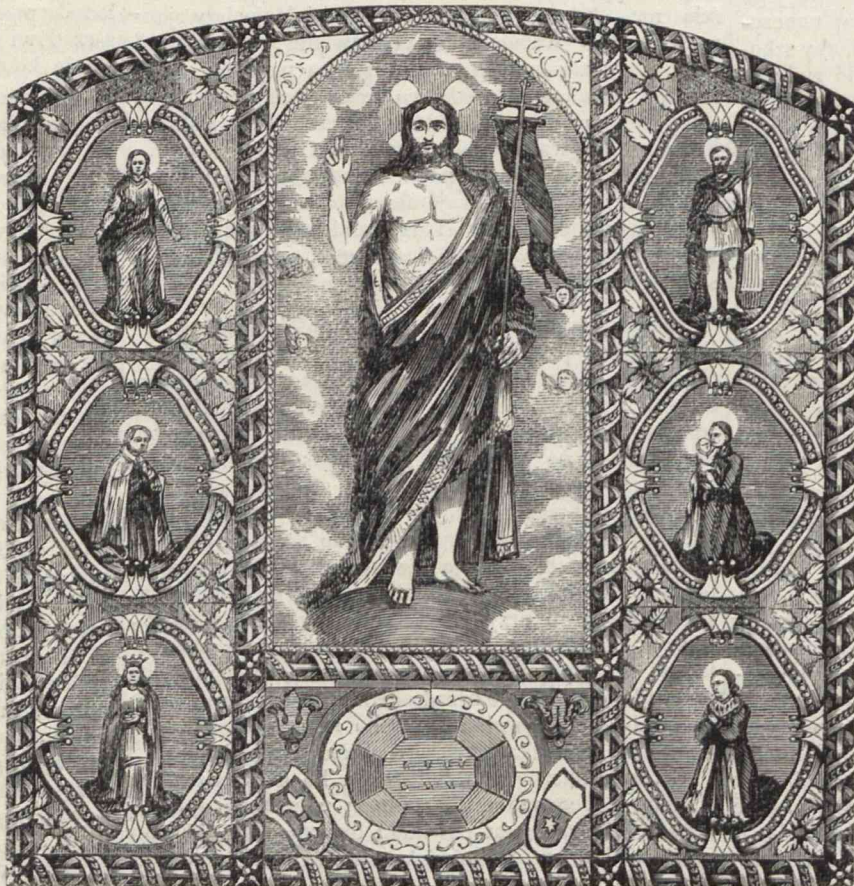
Mody te popierała i upowszechniała ówczesna bogata młodzież, która już nawet zaczęła trefić włosy, olejkami pachnącymi namaszczać i przechodzić w rozpieszczanie niewieście. Pomimo to, gdy *potrzeba* zaważwała, każdy z nich zahartowany z młodu, dosiadał dzielnego biega, przywdziewał pancerz, brał kopię do ręki i biegł walczyć w rotach husarskich i pancernych.

Poważniejsi, mniej skłonni do naśladowania obcych, pozostali przy dawniejszym stroju, pełnym prostoty i wygody, przyjmując pomimo tego nowe do niego przybory.

Najdawniejszem i prawdziwie polskiem narodowem ubraniem był żupan, wzięty od ludu, który sam swoje dotąd sukmanę nazywa *żupanem*. Pas, jakiego lud używał, przywdziewał szlachcic ozdobniejszy, zastosowawszy go w ten sposób, aby przy nim zawiesić szablę, nieodstępną towarzyszkę swoje, w pożyciu nawet domowem. Jeszcze za czasów Stanisława Augusta, zagonowa szlachta nasza przy szabli orała swoje dziedziczne role.

W XVI wieku nie znano wcale kontusza. Na żupan zarzucał Polak delią futrzaną w zimie, opończę z kapturem sukienną na inne pory roku. Czapki w ogóle w kroju były zbliżone do ludowych, lubo w kształcie ich zachodziły niemałe zmiany. Oprócz rogatywek, noszono okragłe, z futrem wysoko obszytym, które nieraz z czoła i z tyłu głowy czubato w trójkąt wyskakiwało. Buty chłopskie po kolana, z cholewami nisko opadającymi, zwykłe nóg okrycie, w XVI, XVII i w następnych wiekach z małą zmianą widzimy, z tą tylko różnicą, że zaczęto coraz droższych skór używać, od zwyczajnych juchtowych, do safianowych, w kolorach ponosowym, złotym, zielonym i czarnym.

W początkach XVII wieku zagęszcza się kontusz,



OKNO NA SZKLE MALOWANE W KATEDRZE JANOWSKIEJ.
(Rys. Podbielski, ryt. w drzeworytni Tygodnika.)

prostoty i wygodnego, zastosowanego do potrzeb i naszego klimatu ubioru, zaczęto się przystrajać bogato i kosztownie w czasach jagiellońskich, szczególnież za ostatnich Zygmunatów.

Mody to czeskie, to włoskie, to hiszpańskie rozsze-



UBIORY POLSKIE Z XVI, XVII i XVIII WIEKU. (Rysował Kossak, ryt. w drzeworytni Tygodnika.)

strój wzięty od Tatarów, gdy ówczesna Rzeczpospolita w ciągłych z nimi była stosunkach, które potokami krwi i ohydą niewolą tysięcy swą działalność opłacała. Najprzód okazują się bez wylotów, później z wylotami.

Kontusze głównie upowszechnił Jan III Sobieski w całej Polsce: w kontuszu i żupanie walczył pod Wiedniem 1683 r., gdy tę stolicę ocalił od zaty, rozbiwszy ostatecznie całą potęgę turecką.

Zanim szczegółowe złożymy w niniejszym piśmie sprawozdanie o ubiorach polskich, tak męskich jak niewieścich, podajemy tu w drzeworytach (podług rysunku artysty naszego Juliana Kossaka) wzory stroju dawnego z XVI, XVII, XVIII stulecia.

Na pierwszym widzimy cztery postacie dawnych Polaków. Nr. pierwszy, (wzięty z dzieła z XVI wieku p. n. *Civitates orbis totius*) przedstawia ubiór polski z XVI wieku, już zczudziomczący. Na głowie czapka przystrojona w pióra: żupan krótki na jeden rząd pętlic zapięty, przepasany więcej szarfą jak pasem staropolskim, przy którym zawieszona szabla. Spodnie obcisłe mody włoskiej, i téż mody półbucia. Na to oponcza drogiem futrem podbita. Cała postać znamionuje *elegancję* owego wieku. Obok (Nr 2gi) stoi poważniejszy szlachciorcyerz: miecz ogromny, z rodzaju koncerzy, zwiastuje

Obok (Nr. 4) mamy postać już z XVIII wieku, w stroju uroczystym polskim, w którym Rzeczpospolita położyła się w grobie. Kontusz długi, z wywiniętym kołnierzem, z sutemi wylotami, pokrywa żupan, na którym kołnierz niski i wywinięty kołnierzyk od koszuli; pod szyją spięty bogatą spinką; guziki tak u żupana jak u kontusza kosztowne; pas lity słucki, przerabiany złotem i srebrem; karabela z drogocenną pochwą i rękojeścią wisi przy lewym boku; buty na wysokich korkach; czapka szczególnego kształtu, z obszyciem futrem.

Co do kolorów, szczególniej z XVIII wieku, dodać należy, że używali Polacy najwięcej na żupany materii ponsowej, amarantowej, jasno-niebieskiej i białej; buty noszono czerwone i żółte, na codzienne chodzenie tylko czarne.

ZAMEK ODRZYKÓŃ.

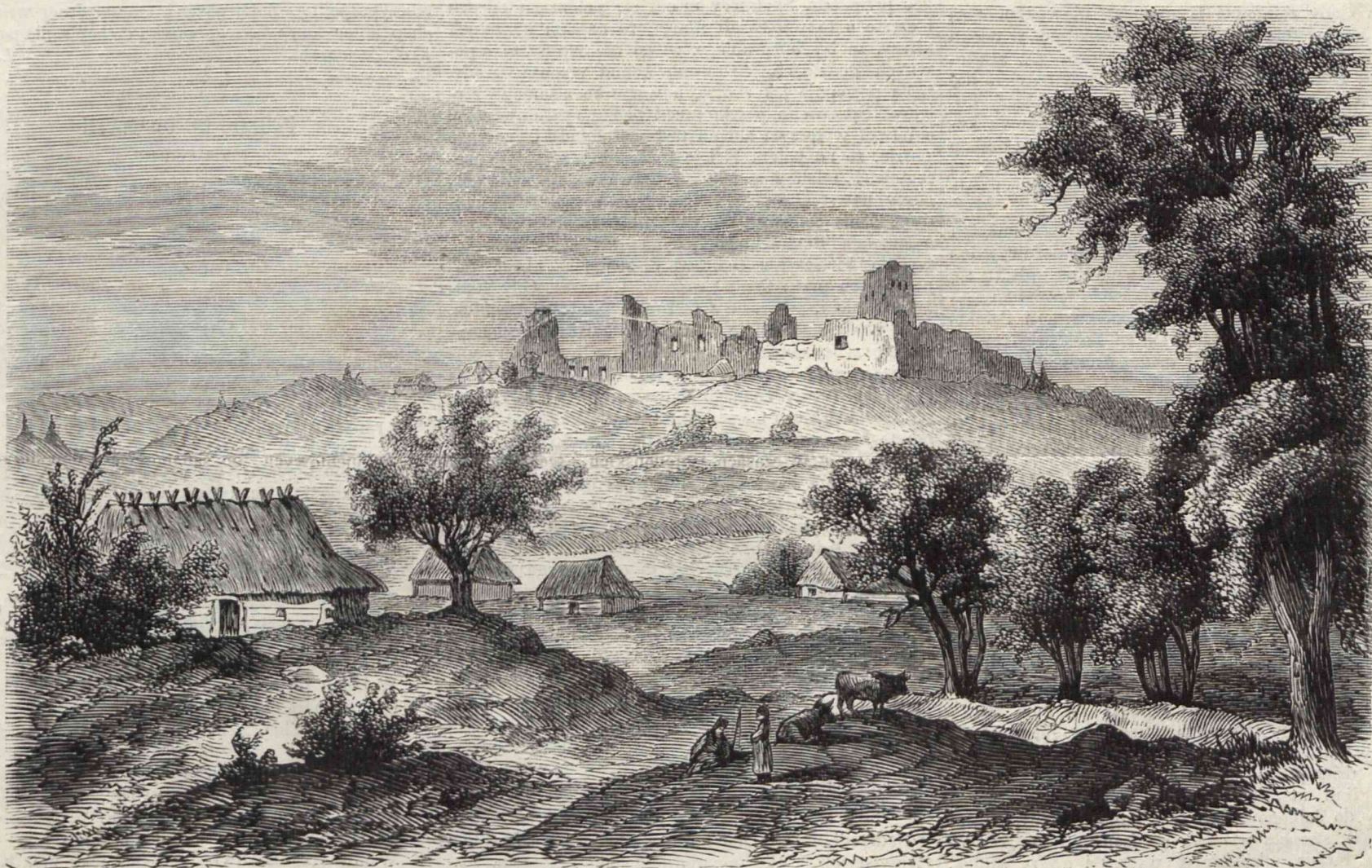
Okolice Jasła, a raczej cały niedawno zniesiony obwód jasielski, możnaby nazwać galerią najcudniejszych i najrozmaitszych pejzażów, a jeszcze lepiej kaleidoskopem, co w miarę jak zmieniasz punkt widzenia, przedstawia ci nową kombinacją gór, dolin, bu-

śnięte miasteczko, fizyognomią przypominające Biecz, Sącz i Sanok. Podgórskie te grody zachowały jeszcze swój średniowieczny wyraz w czerwonych dachówkach, gdzieśniedzie utrzymanych, w podcieniach domów służących na kramy, w wysokich przyczółkach noszących ślady gotyckiej architektury, lub różnych godeł. Domy ściśnięte, murowane, wąskie uliczki i zaułki, a okna i drzwi kamienne rzezbami okryte. Aczkolwiek wszystko to w upadku, znać jednak siedzibę zamożnego i czynnego mieszczaństwa, co opasało się fosami i murem, zabezpieczając swoje składy od napaści węgierskich i swojskich lotrzyków.

Na milkę odległości od Krosna, za Wisłoką, za błoniami i łanami doliny, na cyplu wysuniętej góry, szeroko rozłożyły się bielejące zwaliska odrzykońskiego zamku, a raczej Kamienica, jak się właściwie od najdawniejszych czasów nazywał.

Nic wspanialszego nie można sobie wyobrazić, jak widok tych ruin; chyba kilkomilowe widoki z ich szczytu, sięgające aż po Jasło, Cergową górę z Duklą, Rymanów, z tysiącami załomami wzgórzów, mnóstwem siół i zakrętami dolin przepasanych błękitną wstęgą Wisłoki, mogą z nimi walczyć o pierwszeństwo.

Krosno, pomimo licznych pamiątek po kościołach i romansowych wspomnieniach o Oświęcimach, z których



ZAMEK ODRZYKÓŃSKI. (Rysował Kostrzewski, ryt. w drzeworytni Tygodnika.)

jego powołanie. Do czapki staropolskiego kształtu przyczepił pióro ozdobne. Żupan staroświeckiego kroju, równie jak pas ściskający biodra, spodnie i buty z długimi po kolana cholewami. Zwierchnią odzież stanowi delia futrzana, z szerokim kołnierzem z tegoż futra, spięta pod szyją kosztowną kłamarą.

Przy nim z XVII wieku *Polonus* (Nr. 3), już ma żupan dłuższy, do kostek sięgający, przywdział kontusz krótszy, z potrzebami na piersiach, ze stojącym kołnierzem. Przy pasie wisi bojowa szabla, mająca u rękojeści zwieszony łanćuszek, co po ujęciu jej w rękę, zasłaniał od cięcia. W prawym ręku trzyma czekan, rodzaj toporka, noszony wtedy powszechnie. Na głowie czapka starodawnego kształtu, z dnem okrągłym, obszyta futrem bobrowym lub lisiem, które z czoła, jak z tyłu głowy, wyskakuje w wysoki czub trójkątny. (*) Oblicze męskie a surowe i poważne, wąs zawieszisty, daje nam typ owego rycerza-rolnika, co stał na straży granic Europy, odpierając mężną piersią nawały pogan, drących się gwałtem do przełamania tego żelaznego muru.

(*) P. Kossak rysunek Nr. 2 wziął z dzieła: *Źródłopisma do dziejów unii*. Nr. 3 z *Opisania karuzelu* (w języku szwedzkim) danego na cześć wstąpienia na tron Karola XI, zachowanego w bibliotece hotelu Lambert.

kietów, drzew, smugów leśnych, a w dalekiej perspektywie zwaliska jakiego zamku, białe domki miasteczka, a wszędzie, za każdym wzgórką załamkiem, zielone wioski, z eleganckimi pańskimi dworami.

Szczególniej murowany gościniec, biegnący lekką pochyłością od Jasła ku Krosnu i dalej ku Sanokowi, pełny jest tych uroków; oddalając się bowiem od grzbietu wyższych szczytów karpaccich, wkracza w bujniejszą glebę i mniej ostre, lubo zawsze czerstwe górskie powietrze. Jałowy, zimny grunt, zasiany kamieniami, mimo malowniczych i niebotycznych skał, niezbędnych świerków wieszających się nad urwiskami i galopujących strumyków, mimo tych wszystkich romantyzmów budzących podziw, nie wzbudza jednak trwałej rokoszy i przyjemności, jakiej się doznaje na widok wdzięcznej pracy człowieka, ozdabiającej uprawą i tak już piękną naturę. Dla tej przyczyny wyższe Karpaty i Tatry mają swoich przelotnych i to niedawnych wielbicieli, uderzonych majestatycznością tych olbrzymów: stąłych ma tylko Podgórze, zasiane tak dawnymi tradycjami, jak nasza historia.

Zbliżając się do Krosna oblanego Wisłoką, ujrzyś wspaniały i w swoim rodzaju nowy widok. Na wzgórzach, z śladami wałów, rowów i murów obronnych, z kilką wystrzelonemi wieżami kościołów, leży ści-

gwałtem chciano zrobić coś podobnego jak Heloizę i Abelarda, lub Julię i Romea, zostawiam na boku, jako niezostające w ścisłym związku z zamkiem, o którym chciałbym podać wiadomość.

Od wsi nazwanej Odrzykoniem, leżącej pod samą górą, gród ten niesłusznie otrzymał dzisiejsze miano; zawsze bowiem zwał się Kamieniec. W średniowiecznych dyplomatach, a nawet w dobrze późniejszych, zwano go Ehrenbergiem; zaś okoliczni Rusini mianują go *Kitczy zamok*, co ztąd pochodzi, że dziedzice miasteczka Kotczy, a po dzisiejszemu Korczy, będąc właścicielami niższej części zamku, dla odróżnienia od posiadaczy wyższego, dostali nazwę panów na koczym zamku, czyli z ruska: kitchym.

Oglądając góry, przekonać się można z ich rozległości i rodzaju umocnienia, że to była jedna z najwarowniejszych twierdz na pograniczu węgierskim. Najlepiej świadczą o tem grube mury, wyciągnięte ze skał sterczących pionowo, lub wiszących nad przepaścią, baszty, strzelnice, drugi mur obwodowy, a za nim szanice i głębokie fosy. Straż czuwająca z baszt i kamiennych wedet, z jakich jeszcze jedna się przechowywała, ostrzegała czy o zbliżaniu się nieprzyjaciela, czy o jakiej kupieckiej karawanie idącej od Węgier, niezawsze bezpiecznej od napaści panów grodu.

Wspomniałszy o grodzie wyższym i niższym, wniem ostrzedz że podział ten nastąpił później, w skutek działów rodzinnych; dwóch bowiem zamków tu niema: na jednej płaszczyźnie opasują go jednym ciągiem mury i baszty, szanice i fosy. Wszakże był to podział taki sam, jak kiedy w jednym dworze mieszka dwóch panów, i ztąd część północno-zachodnia nosiła nazwę zamku niższego, a południowo-zachodnia wyższego. Pierwsza strona lepiej się dotąd przechowała niż druga; jest w niej obszerny, czworokątny dziedziniec, opasany murem; są jeszcze ślady ozdób architektonicznych, co wszystko jest dziełem restauracji dokonanej przez Seweryna Bonara w r. 1534, który „wybornym kształtem“ tę część z fundamentów wyniósł. Spotykały się tu herby Bonarów i Betmanów, gdyż jak wiadomo Seweryn Bonar z Balic, kasztelan biecki, wielkorządca krakowski, ów mąż o którym Decyusz powiedział: *inter cives tota Sarmatia insignior*, miał za żonę Zofię Betmanównę. W wyższym zamku stoi jeszcze ruina czworokątnej baszty, — ślady stajen i piwnic i kilkopiętrowy gmach mieszkalny wzniesiony na skale, z kąd właśnie otwiera się najczarowniejszy widok na Karpaty i dolinę Wisłoki.

Gród ten ma swoje historię i domową i wojenną. Wnosząc z niektórych podań i aktów, historia ta nader jest bogatą i w swoim rodzaju może jedyną.

Kto i kiedy zbudował Kamieniec? niewiadomo; są jednak niezawodne wskazówki, że istniał już w wieku 14ym, a najpewniej powstał za Kazimierza W., założony przez Moskorzewskich Pilawitów; jest bowiem dowód, jako Klemens Moskorzewski, podkanclerzy koronny, w r. 1397 fundował i uposażył zamkową kaplicę, a Paprocki wyraźnie pisze, że Piotr Wisz biskup krakowski, w r. 1402 na prebendę w Kamieńcu, za przyczyną Klemensa z Moskorzewa, dwie dziesięciny od stołu swego biskupiego darował.

To pewna, że Moskorzewscy siedzący na Kamieńcu przyjęli nazwę Kamienieckich, i dopiero później jedna gałąź tej rodziny, przeniósłszy się na Ruś, pisała się Kamienieckimi na Olesku i Żołoczach, podobnie jak z tegoż rodu Pilawici, od dziedzicznej włości Potoka, nazwali się Potockimi. Zdaje się że Moskorzewscy już w piętnastym wieku wzięli miano Kamienieckich, zapewne dla odróżnienia od głównej gałęzi siedzącej w Krakowskim nad Nidą, lubo i tu niema nie pewnego, gdyż Paprocki cytując nagrobek znajdujący się w Krośnie jakiegos Klemensa Moskorzewskiego *de Kamieniec*, kaszt. sanockiego, zmarłego 1536 r.

W aktach dotąd niedość pilnie przejranych, a znajdujących się podobno w Krościenku, można dowiedzieć się nieco o działach rodzinnych. W piętnastym wieku Henryk Kamieniecki zostawia dwóch synów: Wojciecha i Jana, i pierwszemu daje wyższą część zamku z włością Odrzykoń i przyległościami, a drugiemu niższą część z Koczyną czyli Korczyną. Pierwszy ten podział głównego gniazda, stał się później powodem długich swarów domowych i gwałtów, a ztąd nieustannych procesów.

Odtąd przez małżeństwa, spadki i kupna zamek ten przechodził w ręce to Stadnickich, to Siemińskich, Bonarów, Firlejów, Skotnickich; w ten sposób, że część wyższą dzierżył kto inny, a niższą inny. Po wygaśnięciu linii męskiej Firlejów, dobra te po kądzieli przeszły do Jabłonowskich Grzymalczyków. Roch Jabłonowski, starosta wiślicki, urodzony z wnuczki Stanisława Firleja, odziedziczył wyższy i niższy zamek, z należącymi do niego dobrami.

Najświetniej, jak rzekło się wyżej, wyrestaurował niższą część zamku Seweryn Bonar z Balic; córka jego Zofia, na której śmierć Kochanowski piękny wiersz napisał, poszła za sławnego Jana Firleja, wojew. lubelskiego. Zdaje się przeto że tą drogą Firlejowie przyszedli do posiadania części zamku, równie jak Skotnicy, którzy się skłigacili z Firlejami. Powikłane te stosunki możnaby tylko uregulować i wyjaśnić z samych dokumentów; tyle jednak wiadomo, że w 17 stuleciu Firlejowie siedzieli na wyższej, a Skotnicy na niższej części zamku, a z tak bliskiego i zapewne nie dobranego sąsiedztwa wyrodziły się długie kłótnie, choć między spokrewnionymi domami. Niektóre dokumenta procesowe rzucają światło na ten stosunek, tak wybornie odmalowany w komedii Fredra: *Zemsta za mur graniczny*. Z początku, trzymając się starego miejscowego zwyczaju, tak Firleje, jak Skotnicy, żyli ze sobą w dobrej zgodzie: używano wspólnie wody z jednej studni, drew z jednego lasu, owoców z ogrodu i wspólnych pastwisk. Dopiero za Zygmunta III Skotnicki, niespokojna głowa, podmówił włóścian odrzykońskich, żeby zbili leśnych Firlejowych. Chłopi, niecierpiący z natury tych przestrzegaczów porządku leśnego, uzbroiwszy się w widły, cepy i siekiery, napadli na nich. Ci, widząc niebezpieczeństwo, pierzchnęli, a cały tłum napastników, mniemając że leśni schronili się do pobliskiego Krosna, puścił się za nimi.

W Krośnie właśnie był jarmark; na nim znaleźli się leśni z Węglówki, z których jednego nazwiskiem Piotra Orbina w kawalki posiekali, innych ciężko ranili i obdarli. Gwałt ten wywołał liczne procesy, załatwione w końcu przez kompromis. Ciekawe są opisy i rozgraniczenia, jakie stanęły między właścicielami wyższego i niższego zamku. Przytaczam je dla osłowności: 1. Wał przy murach niższego zamku, od skały naróżnej wyższego, miał wieczystymi czasami należeć do zamku niższego, z zastrzeżeniem, że droga koło tego wału na cztery łokcie szeroka, miała być otwartą do zamku wyższego. 2. Studnię osobną powinien mieć wyższy i niższy zamek. 3. Rynny był obowiązany Skotnicki utrzymywać na dachach, jednak w sposób nie szkodziący budynkom sąsiada i tak, aby wody z nich spadały między mury, które były przejściem z jednego do drugiego zamku. 4. Kaplica pozostanie wspólna obu zamkom. Co się zaś tyczy odrzykońskich poddań, Skotnicki winien był zapłacić 100 grzywien kary; samych zaś chłopów od dalszych badań uwolniono.

Niedługo jednak trwała ta zgoda. W r. 1644 powstał nowy proces o prezentowanie kapelana, która to prezentacja więcej zawiśła była od Firlejów, albowiem kaplica od najdawniejszych czasów była w obrębie tej części zamku, którą oni posiadali. Nie mogąc przemódz, Skotnicy mścili się potem na księdzu i częste o to wznawiali skargi, że napada na zamek niższy, że łży burgrabiego, że go nie wpuszcza o pewnych godzinach, że swemi końmi wypasa ogrody, zgola postępuje jak zbójca, a wszystko z namowy Firlejów. Sprawa ta poszła przed biskupa przemyskiego, a nawet wytoczyła się na trybunał lubelski, z czego poszło, że na potem Firleje i Skotnicy wspólnie prezentować mieli kapelana. Zaledwo to się załatwiło, nowy powstał proces, skomplikowany niż poprzednie. Zofia ze Skotnickich, Jakuba Kalińskiego żona, a Mikołaja Skotnickiego jedyna prawa suksessorka, wydała Piotrowi z Dąbrowicy Firlejowi akeją popełnionych przez tegoż gwałtów, tej treści. Gdy Mikołaj Skotnicki, w czasie wszczętych buntów kozackich, miał wyciągnąć w pole z swoją chorągwią dla połączenia się z hetmanem, wtedy troskliwy o znaczne summy jakie miał w gotówce, przewiózł je do Krosna i powierzył pieczy znanego mu z rzetelności i wierności krosnieńskiego mieszczanina Wojciecha Mahla. Summa to była znaczna, wynosiła bowiem 200,000 w gotówce, a w klejnotach, srebrach i szatach na 540,000 złp. Skotnicki nie wrócił więcej do domu, gdyż poległ pod Zborowem. Skoro wieść o jego śmierci doszła do odrzykońskiego zamku, Piotr Firlej, wzięwszy żołnierzy dworskich, służbę i chłopstwo wynoszące parę tysięcy głów, ruszył z tą czeredą na Krosno, wtargnął do miasta i ów skarb gwałtem zrabował. Sześć obładowanych wozów przewiozło go na zamek. Pozostała córka suksessorka, zapozwała gwałtownika i wydiercę. Firlej, ufając w siłę i nie chcąc się zatrzymać na drodze występku, upatrzył chwilę w której Zofia wraz z mężem swoim Kalińskim przybyła do Krosna, dla wyprawienia pogrzebu ojcu poległemu w boju, i znowu wypadł na czele zbrojnej tłuszczy, zbił ludzi Kalińskich, i państwu byłby pewnie żywot ukrócił, żeby się nie salwowali w porę. Proces ten jednak dał się zakończyć dobrowolną ugodą.

Nadszedł r. 1657, pamiętny wielkim zawichrzeniem rzeczypospolitej. Siedmiogrodzianie pod Rakoczym, rozpuściwszy zagony, zmierzali ku Krakowu. Firlej, widząc zbliżającą się burzę, zmówił się z Kalińskim pod czaszym sanockim, z Kołaczewskim, Leśniewskim, Stroińskim i z wieloma szlachty sanockiej, żeby ścignęli dla obrony zamku, gdzie było większe bezpieczeństwo. Wzięto się zaraz do naprawy murów i innych środków obrony; ale że na jednej części zamku siedział ksiądz Paweł Skotnicki, wypędzono go zatem z czterema sługami i piętnastą strzelcami, a tak stajnie, jak gmachy mieszkalne zajęli nowo-przybyli obrońcy. Wygnaniec z własnego gniazda, udał się ks. Skotnicki do Krosna, lecz i tam go nie chcieli wpuścić, tylko jeżeliby przyszedł zaopatrzony w potrzeby wojenne i amunicję. Jakoż wyprawił ludzi swoich po proch i armatę na zamek; nie jednak nie wskórał, ludzi jego pobito, a samego zmuszono gwałtem do powrotu. Podczaszy Kaliński, śnać nieprzyjazny mu, rozgospodarował się na dobre, tak że nawet Skotnickiego ludziom nie pozwalał brać wody w zamkowej studni, tylko chodzić po nią kazał na dół. Nadszedł wrzesień Rakocy, a choć pod Krosnem napadł na niego Szembek w pięć chorągwi, jednak nie przeszkodził mu dobywać Odrzykon. Czy długo trwał szturm? niewiadomo, to jednak zachowało się w podaniu, że część zamku została dobytą i spustoszoną; obrońcy zaś uszli podziemnymi przejściami w lasy. Po ustąpieniu Rakoczego, podczaszy Kaliński nie wyszedł przez lat dwa ze zamku i gospodarzył jak u siebie, dopóki mu

ksiądz Skotnicki nie dał na piśmie, jako nie ma żadnej do niego pretensji i processować go nie będzie.

Oto jest uchylony kawałek obrazu dziejów domowych Kamieńca; mimo niedokładności swojej, budzi on interes dla tych ruin, zwłaszcza w duszy poety, który go może sobie odtworzyć i zapełnić ożywionymi scenami charakterów i namiętności.

Wypada dodać coś jeszcze o kaplicy. Zamek wyższy miał kaplicę datującą od Klemensa Moskorzewskiego, a założoną pod wezwaniem zwiastowania N. Panny Maryi, tudzież S. Anny i 44 tysięcy męczenników. Była i druga później fundowana kaplica w zamku niższym, tak zwana koczynska, czyli korczyńska; fundował ją Bonar; ma też innych patronów to jest: *Passionis D. N. I. C. i Annunciationis B. V. M.*; 44 *Auxiliorum*: Annę, Zofię, Ursulę, Apolonię, Elżbietę, Jadwigę; i inne też ma czynsze i obliży. Kaplica ta dawno podupadła; ta zaś której jeszcze ślad istnieje, jest odrzykońska, czyli należąca do wyższego zamku. Długo nawet po upadku tych murów odprawiano się w niej nabożeństwo.

Do kroniki Odrzykonia należy jeszcze wspomnienie o Machnickim, dowcipnym, a często i głębokim szaleńcu, który lubił przebywać w tych zwałiskach i marzyć o ich dawniej świetności, wmawiając w siebie że był jakim Moskorzewskim lub Firlejem, a nawet królem rzeczypospolitej. Z tej postaci fantastycznej wziął pochop autor kaniowskiego zamku do napisania powieści *Król Zameczyska*.

L. S.

PROLOG DO DRAMATU

POD NAZWISKIEM

KRÓLOWA JADWIGA,

PRZEZ

JÓZEFA SZUJSKIEGO.

Autor mówi:

Nie z grzmiącą pieśnią dziś przed wami stoję,
Bez blasków sromu świętego na twarzy,
Bez tego ognia, co się w gęśli żarzy
I ran zaskrzepłych zawiązki przeżera.
W przeszłości bluszczach dzisiaj skronie moje
Podobne skroniom gotyckich rzeźbiarzy,
A w dłoni rylec, co z trudem rozdziera
Nieczule drzewa lub marmuru stoję,
Aby z nich zbudzić postać bohatera.

W klasztornej celi myśli mych zamknięty,
Spokojny w Bogu, co nas w pieczy trzyma,
W kronice starej tęskniami oczyma
Szukałem kształtów dla myśli poczętej;
Nad wawelowe grobowisko zgięty
Wolałem pięknej, co miłośnie ima
Bratnie narody w macierzy objęcie,
Jak krzyż Chrystusów w nowym testamencie.

I wielką miłość uczuwszy ku zmarłej,
Błagałem ocząt, aby się otwarły,
Błagałem piersi, aby bić zaczęła,
Błagałem rączęt, by na pierś złożone
Wstały jak lilje dwie, słońcem ocknione,
Aby ta postać, co w grobie usnęła,
Na małe nóżki dostojnie się wzniosła,
Jak brzoza, która z mogiły wyrosła.

I jako pajak, co włókna tęczowe
Snuje o białą nieboszczyków głowę:
Tak snulem cicho po grobowym pyłe
Wspomnienia jasne, jak łuski motyle —
I chciałem zbudzić panią moję w bieli
Słowiczym śpiewem i pieśnią minstrela,
Miłosnych marzeń serdeczną pieśczętą,
Książęcia Rakuz głową jasnoziłą;
Ale nie drgnęła: jeno smutek cichy
Powiół jej usta, jak kwiatów kielichy.

Więc w struny lutni uderzyłem wieszczę,
Głos tryumfalny wmięsałem do pieśni,
I rzekłem cicho: Męczeniści, boleśni,
Litwin z Polakiem kochają się jeszcze,
Kochają wiernie, a pierścien twój ręki
Trzyma dwa ludy wytrwania i męki! —
Wtedy twarz białą święte przeszły dreszcze,
A serce w piersi zatętniło dzwonem,
Niby modlitwa, co przed Bożym tronem
Rozlana w niebo podzięką szleszcze.

Wstała królowa i szła uśmiechnięta
Na biały marmur, ręką mą ciosany,

Promienna złotym włosem, co rozwiany
Lśnił koło głowy, jak korona święta;
Greckich posągów miała rysy czyste,
A polskich dziewic oczy łzą przejrzyste —
Szła — i obrazu rzeźbionego ściany
W sklep się świątyni zgodnym łukiem zbiegły,
Z wyroków Bożych sklep, gdy ją spostrzegły.

Szła — a na odgłos stopy jej malenkiej
Kroki rycerzy słyhać, zbroic szczęki
I lutni dźwięk, co w ciszę pieśnią trąca;
Z dwóch stron się garna — jak ptaki do słońca.
Z wiejących włosów trefionym kędziorem
Na sercu trzyma dłoń, na sercu chorém,
Młodzian rakuzkiej krwi, minstrel ksiązęcy,
Kłęk przed panią swą i w szept dziecięcy
Długo jej mówi coś — was młody muszce,
Wygięty kształtem, jak namiętne bluszcze.
Ponuręj twarzy mąż — czarnego włosa,
Opodał patrzy się, w ócz jej niebiosą,
Smutną wyplakał łzę, co mu na rzesie,
Na rzesie czarnej, jak brylant się trzęsie,
I czeka z boku nad miecz swój schylony,
W katechumena szatę obleczonej.
W pośrodku — starców chór, niby chór grecki,
By wajdelotów tłum z brody białemi;
Za słupem stoi mąż — wzrok ma zdradziecki,
W twarzy oszczerstwa śmiech — czarta tej ziemi,
Z Judasza licem za ławę ucieka,
Z pod której słowo swe jak pies odszczeka.

Tak na mej rzeźby marmurowej płycie
Postacie dawne stanęły przyjaźnie,
Jam chwycił dłużej i chciałem ich życie
W nieczułym głazie odwzorzyć wyraźnie.
W ciszy nad głazem pracowałem zgięty,
Aby rys żaden nie uszedł daremnie,
By całe dzieło szło w przeszłości świętej
Przezemnie tylko, ale nie odemnie.

Lecz com miał wdzięków w gęśli mojej srebrnej,
Tom je miłośnię w pracę mą przelewał;
Słuchałem pieśni aniołów podniebnej,
Którą świat Boży Polsce naszej śpiewał,
I w tę cudowną pieśń wyroków Pańskich,
By w światło, czołom królowej odziewał,
Aby mi jasną była jak dzień złoty.
Chciałem jej rzewność dać dziewczę słowiańskich,
Dziewic południa pierś pełną tęsknoty,
Niewinność dziecka i hart amazonki,
I Antygony greckiej rysy białe;
Chciałem dać pani chrześcijańskiej chwałę
Wyjętej kędyś z męczennic koronki.

Młodzieńca Rakuz ubrałem starannie
W migotne barwy rycerskiego ptaka,
W czułość minstrela i srogość Krzyżaka,
W butę Germana, kiedy w Polsce stanie.
Sentymentalną bladłość ma na twarzy,
Gdy inni cierpią, on o sobie marzy,
I w bańce marzeń rycerskich zamknięty,
On wyjdzie w fałdy płaszcza owinięty,
Bohater pieśni w postaci zgniewanej,
Z ostatniem słowem, co przeklnie Słowiany.

Gdzieżem miał szukać tej postaci dzikiej,
Co pod Grunwaldem jak grom Boży grzmiała,
A przed swą śmiercią posępna słuchała
Jako medyczne śpiewały słowiki?
Książęcia owę dziecinność prostoty,
Co po Jadwidze bólem wielkim zgięty,
Chciał w dziecie lasów ponieść płacz swój święty
I tron królestwa chciał opuścić złoty?
W słowiańskich borów uroczystym szumie,
W wawelskiej góry niebotycznym tumie,
W jagiellońskiego wieku blaskach cnoty
Chciałem uchwycić pierwowzór ten złoty!
Tę duszę białą, której było trzeba
Chrzta tylko, aby wzniosła się do nieba,
Wolna od wszelkiej samolubstwa skazy,
A niewzruszona jak tatrzańskie głązy;
Tam chciałem spotkać rodzica plemienia,
Co nazbyt białem było w świecie brudów,
Którego berłem bywał głos sumienia,
A prawem miłość, święta miłość ludów!...

Lechickich starców posiwałe czoła
Szukać musiałem na murach kościoła,
W onych poważnych, marmurowych twarzach,
Co śpią snem glazu przy pańskich ołtarzach,
Sparci na dłoni, którą trud pórorał,
A w drugiej dzierżą miecz albo pastorał.

Tam, kiedy Anioł oddzwaniał Pański,
Patrzyłem na nich, kiedy pierś kamienna,
Zbudzona dźwiękiem, ruszyła się senna,
Aby wyszeptać pacierz chrześcijański —
A czasem chłop mnie pomógł, chłop słowiański,
Z jasnymi włosy kłęczący na boku,
Co duszę zmarłych miał w pobożnym oku.

Chciałem wysunąć trzech z dziejowej księgi
Przedstawicieli polskiej trójpotęgi:
Starca groźnego, jak kłatew papieżka,
A poważnego, jak władza królewska;
Ziemskich go uczuć nie dosięgną fale,
Z Piotrowej skały ma serce ukute;
Gdy mu zatętni — to ku Bożej chwale,
Gdy się roztopi — to w świętą pokutę.
Bo ten fiolet, który go odziewa,
Ubierze potem wielkiego Zbigniewa,
I jagiellońskich mocarzy powoła
Na sług najpierwszych świętego kościoła.

Drugiemu szron nie zgasił blasku oka,
Czarne jak węgiel skrzy z pod brwi krzaczystej;
Nad nim skroń dumna, jak góra wysoka,
A pod nią twarz — raz obłok płomienisty,
Gromki i dziki — znów błękit w pogodzie,
Jako tych wielkich w Lechitów narodzie:
Kiedy upadli — to jak dąb wspaniały,
Kiedy się wznieśli — to do niebios chwały,
Gdy się gniewali — to z piekła strasznością,
Gdy przebaczała — to z świętych miłością.

Trzeciego starca szedłem szukać w ciszę
Spustoszonego, szlacheckiego dworu:
Na białej głowie miał światło wieczoru,
Co się po lipy konarach kołysze,
Szedł ku mnie cichym, przeczystym gołąbkim,
Dzieciat i wnuków otoczony rąbkim.
Świętego uśmiech miał, oko harfiarza,
Spokój rolnika, a piersi bojarza.
Szedł, a gaista wieś w wiatru powiewie
Szumiała w koło — i słowik na drzewie
Śpiewał i bocian na spichrzu klekotał,
A po staruszką głowie wiatr chechotał.
Widziałem go — pacierza szeptał słowa,
Wzdychał i patrzył ku cmentarza stronie,
A dusz umarłych girlanda różowa
Ku staruszkowi wyszła na nieb tonie;
I twarz spokojną miał, gdy szedł na łożo,
Jak czysta fala na wiejskim jeziorze.

Tak z widzeń duszy i marzeń dziejowych
Postacie zmarłych szły pod moje dłużej,
I z płaskorzeźby objęciów glazowych
Podniosły głowę w twardej kamieni wkuć.
Minnesingerskiej pieśni watek złoty,
Serdeczne głosy miłosnej pieszczoty,
Dziewiczej duszy utęskniony lament,
W tajemnic pańskich gdzieś mroku się zbiegły,
Jak w tumie gockim wzniosłych łuków cegły
W kościelnej nawy niebieski firmament.
Litewskich męzów postacie pogańskie,
Słowiańskich starców głowy chrześcijańskie,
Rycerski młodzian w niemieckim pancerzu,
Gniewosza głowa oszczerza, zdradziecka,
Bieluchna postać królewskiego dziecka,
Niby gotyckich płaskorzeźb tysiące,
Splotły się razem — w cudownym przymierzu,
Swarne, jak życie na ziemskiej dolinie,
A przez barwiste szyby jasne słońce
Bożego rządu światłem na nie płynie,
Na cień i światła ich grupy rozkłada
I piętnem łaski na wybranych siada.
Tak grą żywota rojące arkady
Piętrzą się w górę, kędy Chrystus błądy
Patrzy w świat Boży cichemi oczyma
I pośród ramion losy ludów trzyma....

KALWARYA ZEBRZYDOWSKA.

O lekkich pięć mil od Krakowa, przy dawnym
gościńcu wiedeńskim, na najniższym stoku Karpat, le-
ży klasztor kalwaryjski, po Częstochowie najsłynniej-
szy ze swoich odpustów.

Ktokolwiek zwidzał to miejsce pobożnych pielgrzy-
mek, mógł się przekonać, że trudno znaleźć rokoszniej-
szy zakątek, osobliwie w porze jesieni, kiedy ta ar-
tystka umacza pendzel w niewyczerpanej swojej fan-
tazyi i najdelikatniejszymi przejściami barw umaluje
runa drzew, światła i cienie rzuci wydatnym kontra-
stem, doliny mgłą przypruży, a odleglejsze pasma
gór skapie w ciemnym szafirze.

Cóż bo to za czarodziejska karta w naszym Podgó-
rzu! Na dwóch kończynach doliny, podobnej do huś-
tawki splecionej z dwóch brzoź, wspina się po jednej
stronie góra z zamkiem lanckorońskim w ruinie, po
drugiej lesista góra Żar, odbijająca na tle czarnem jo-
deł, białe mury kościoła i klasztoru kalwaryjskiego,
u którego stóp ku gościńcowi rozsypały się domki
miasteczka.

Między temi dwoma górującymi punktami, oko bu-
ja po rozsianych w dolinie tysiącznych grupach brzoź
płaczących i świerków, kapliczek i figur, wyzierają-
cych kopułkami i krzyżami z pośród kłębów, i śoiga
kręty strumyczek Skawinki, nazwany tu Cedronem.
Ramami do tego skończonego krajobrazu, są dokoła
piętrzące się wzgórza, za nimi góry, a nad górami
szeroko rozsiadły majestat Babiej góry.

Kto zwidzał Kalwaryę w czasie odpustów i świąt
uroczystych, jak w Wielki tydzień, w Zielone świątki,
Boże Ciało, Wniebowzięcie N. P., Narodzenie M. Bo-
skiej, kiedy to kilka lub kilkadziesiąt tysięcy białego
ludu rozsypie się po łąkach i cienistych gajach, kie-
dy ciągnące drózkami processy zanuca pieśni nabo-
żne rozlegające się echemi doliny; kiedy wieczorem
przy szalasowych ogniskach utworzą się jakby obozo-
we grupy, zajęte kupceniem lub gotowaniem stawy;
kiedy z ganku kapliczki odezwie się nauczający głos
kaznodziei, a pod klasztorem grzmią salwy moździerzy,
huk trąb i kottów, — kto zwidzał w takiej porze Kal-
waryę i patrzył na to życie bogate widowisko, te-
mu zapewne w wyobraźni przypomniał się inny obraz
z wieków odległych, gdy Piotr pustelnik gromadził
rzesze i zapalał je do zbrojnej pielgrzymki, dla odzy-
skania grobu Zbawiciela.

Słowo tylko Boże, lub słowo geniuszu, umie pory-
wać i ku wielkim celom prowadzić; ono jedno zdol-
ne przez ciąg długich wieków przerzucać ludźmi za-
łady i morza, bez znużenia, bez obudzenia zwątpień,
pod godłami ofiary lub sławy....

Takich położań jak Kalwaryja, znalazłby wiele w pa-
smie karpackim; ale sama natura bez wspomnień
prędko przesyca, a raczej budzi tęsknotę za tem co
ma życie, lub co żyło. Wyobraźnia potrzebuje być czyn-
ną, dlatego i najdziksze miejsce, jeżeli ma legendę,
ożywia się, a legenda, to jak powój około ruiny, jak
drzewko wyrosłe na zwalonej baszcie; powój, drzewko,
to ogniwa łączące śmierć z życiem.

Kalwaryja, leżąca między ruinami Lanckorony i Bar-
wałdu, pobożne dzieło słynnego pod Zygmuntem III
Zebrzydowskiego, uwieńczone z jednej strony Kazmi-
rzowskim zamkiem, zapisanym na kartach domowych
rozruchów, zasłaniającym kamiennymi pierściami osta-
tnie wysiłki rycerzy barskich — z drugiej zarosłemi la-
sem ruinami rozbójniczego zamku Włodkowej Skrzyń-
skiej — czyż to nie kraina tradycy i legend? nie sz-
edlisko łask doznawanych przez rzesze przychodzące
tu szukać pociechy?

Ta zbiegająca się przeszłość z obecnnością, użycza
właśnie Kalwaryi tego uroku, jaki dają piękności na-
tury, ożywione wspomnieniem, lub ruchem obecnego
życia.

Sama historyczna postać Mikołaja Zebrzydowskiego,
wywołana myślą, jużby zdolną była nadać tym miej-
scem niemało zajęcia. W początkach swego zawodu
publicznego widzimy go, jak przejęty duchem Bożym,
łącznie z najznakomitszymi męzami, pracuje razem ze
Skargą około założenia banku bractwa miłosierdzia,
podziśdzeń wydającego dobroczynne owoce; takim
znał go Kraków, ówczesna stolica Rzeczypospolitej; in-
nym znał go zamek lanckoroński, którego był staro-
stą. Obrażony w dumie swojej widokiem sąsiada Spytka
z Komorowa, dziedzica na Żywcu, co na mocy jakie-
goś służącego mu prawa zajął był pobliską górę Ża-
rek, zrywa się do wojny domowej i spada jak ja-
strząb z Lanckorony na zastępy przeciwnika, które
wycina. A tak gdy się z współobywatelom rozpra-
wia mieczem, buduje w Zebrzydowicach szpital dla
chorych żołnierzy; chodzi po Krakowie żebrać dla bra-
ctwa miłosierdzia; pokorny, sługa sług, królowi tylko
nie ustępuje kroku, odgraża się i w zemście podno-
si rokosz. Złamany, przeprasza króla i senat, a potem,
jakby na skruchę, wdzięwa mnisi habit i pokutuje
w tych górach. Namiętna to dusza, miotana naprze-
mian dumą i pokorą; aż ostatnia zwycięża i na chwałę
Panu wznosi ten klasztor z drogami męki Pańskiej,
na podobieństwo Jeruzolimy. Pobożna fundacyja kwi-
tnie dotąd; wybuchy namiętne z następstwem klęsk,
zapisały karty dziejów.

Zebrzydowski, któremu się raz pokazały krzyże
w obłokach nad górą Żarek, powziął myśl założenia
w tem miejscu świątyni, a właśnie dworzani jego
Hieronim Strzała wybierał się pielgrzymką do Jeru-
zalemu, kiedy mu polecił zdjąć plan stacyi i przywieźć
wzory kaplic. Z jego powrotem jął się Zebrzydowski
do dzieła w r. 1600 i zaczął wznosić różne budowy,

a następnie stawiać kościół i klasztor, do którego sprowadził bernardynów. Trzeba wiedzieć że w ciągu tej fundacji wystąpił jako naczelnik rokoszu, co nie mało się przyczyniło do jej opóźnienia, tak że dopiero w r. 1609 mógł kościół poświęcić Piotr Tylicki biskup krakowski. Odtąd lud upodobał sobie w Kalwarii i zaczął ją licznie nawidzać, mianowicie z sąsiedniego Śląska, Węgier i Morawy; papieże bowiem wielkie odpusty i błogosławieństwa nadali temu miejscu, a pobożność przodków hojnemi uposażala je fundacyami. Zresztą co mówią o Krakowie, że nieodrazu go zbudowano, to samo da się i o Kalwarii powiedzieć; albowiem przez wiele jeszcze lat stawały się różne kaplice, czyli tak zwane *drożki*, zwidzane processjonalnie przez towarzystwa odpustowe. Kaplice te są rozmaitej wielkości i struktury; niektóre tak obszerne, że mogą paręset ludu pomieścić. Takich stacyj męki Pańskiej jest 26, a Najświętszej Maryi Panny 20. Pielgrzymi znają już porządek w jakim takowe obchodzą processyami.

Pod względem malowania, rzeźb i innych ozdób nie one nie przedstawiają, co by na szczególniejszą zasługiwało uwagę; jedna tylko kaplica *Ukrzyżowania*, zbudowana z ciosu, przytém dość obszerna i leżąca na górze nad klasztorem, może dla zwidzających z ciekawości, mieć wyłączny interes. W niej to znajdują się obrazy Franciszka Lexyckiego, braciśzka bernardynskiego, o którym tyle różnych pisano bałamuctw, że możnaby go za twór mityczny uważać. Najlepsze tu jednak świadectwo daje ksiądz Dzielowski, w opisie Kalwarii współczes-

ny Lexyckiemu, gdzie wyraźnie powiada, że: „cztéry obrazy w Kalwarii w kaplicy Ukrzyżowania malował Franciszek Lexycki.“ Są one ogromnego rozmiaru, z figurami mniejszemi nieco od naturalnej wielkości; przedstawiają zaś: *Przybicie Chrystusa do krzyża*, *Chrystusa ukrzyżowanego*, *Zdjęcie z krzyża* i *Namaszczenie*. Trzy pierwsze mają niezaprzeczoną wyższość nad ostatnim; zawarta w nich cała historia męki Pań-

ojczyściej utworem do którego nie mamy prawa, podaje w podejrzenie i to nawet, co nasze własne.

Sam kościół, z piękną facyatą, z dwiema wieżami i trzecią wznoszącą się z środka kościoła, ma wspaniałe wejście; szczególnie przystęp do niego, otoczony kamienną balustradą z posągami świętych, dodaje mu okazałości. Wszedłszy wewnątrz, widać różnicę architektury; prezbiterium budowane było za

czasów Zebrzydowskich, nawęzbudowali Czartoryscy, późniejsi Kalwarii dziedzice. Ołtarze nie zawierają obrazów godnych zastanowienia. Jeden tylko obraz, znać ze starszego kopiowany, przedstawia w jednej części Władysława IV, odprawiającego dziękczynne modły za chocińskie zwycięstwo, w drugiej bitwę pod Chocimem, w trzeciej zaś Władysława IV z Cecylią Renatą. Są tu i nagrobki niektórych rodzin, lecz bez szczególnego interesu. Korytarze za to mają kilka ciekawych portretów, jak: Mikołaja Zebrzydowskiego fundatora, Doroty z Herburtów Zebrzydowskiej, jego żony, Heleny z Zebrzydowskich Opalińskiej, córki Mikołaja, toż Jana Zebrzydowskiego syna jego. Jest tu także książę Jan Karol Czartoryski, podkomorzy krakowski, żona jego z Zebrzydowskich i Maryanna



KALWARYA ZEBRZYDOWSKA. (Rysował Podbielski, ryt. w drzeworytni Tygodnika.)

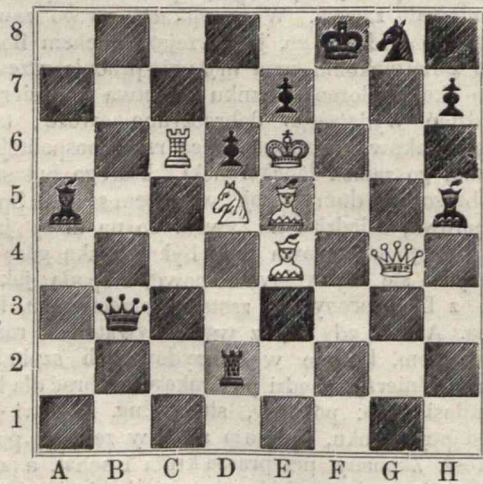
SZACHY.

ZADANIE LX.

(Ks. W. G. z Mianocic.)

Białe zaczynają i dają mata za piątym posunięciem, nie bijąc żadnej z czarnych figur.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 59.

Białe.

Czarne.

- | | |
|---------------------|---------------------|
| 1) G 5 — G 6 | 1) H 7 — G 6 biorą. |
| 2) E 4 — F 3 | 2) E 4 — F 3 biorą. |
| 3) C 2 — G 6 biorą | 3) Jakkolwiek. |
| 4) G 6 — E 8 + mat. | |

Jeżeli czarne w pierwszym posunięciu nie biją piona G 6, wtedy ten w trzecim posunięciu zamienia się w królową, która w czwartym daje mata, bez względu na posunięcie czarnych.

Sprostowanie. W zadaniu szachowym Nr. 59 pie-szek czarny zamiast na A 5, powinien stać na A 6.

skiej, w najostateczniejszej i najstraszliwszej chwili, jest przedmiotem przed jakim niejednym dzisiejszym artysta zadrzał; a jednak pobożny, cichy braciśzek klasztorny, któremu się ani śniło o sławie, wystawach i gazetarskich pochwałach, samą gorącością miłości Bożej natchniony, dokonał tego można rzec arcydzieła. Nie wyobrażamy sobie jednak, żeby to był utwór tej prostoty i tego namaszczenia, co obrazy Fra-Angelico, lub którego z mistrzów starej szkoły niemieckiej. Lexycki widocznie trzyma się nowszych wzorów. Swobodny układ jego osób wpadających niekiedy w *grotesque*, pewność i żywość kolorytu, śmiałość rysunku, świadczące przytém o pilnym studjowaniu natury, wreszcie dowolność w draperyach zbyt połamanych, a często połamanych bez myśli—wszystko to przekonywa, że późniejsze wzory szkoły weneckiej, a mianowicie flamandzkiej, nie były mu obce. Szczególniej wyraz w twarzach charakterystyczny i dramatyczny, a natura ludzka widocznie podchwytowana na uczynku. Oblicza katów i łotrów nacechował też piętnem zbrodni, posunięciem niekiedy aż do przesady.

Pod każdym względem zadziwia w tych obrazach bogactwo kompozycji, wymagające szczegółowego zastanowienia się nie tylko nad układem, ale i szczegółami, wykonaniami z sumienną ścisłością. Wprawdzie niema w nich Rafaelicznej idealności, i anielskości, ale jest widoczne zbliżenie się do natury, wszakże z zachowaniem powagi wynikającej z tak wzniosłego przedmiotu. W kościele klasztornym jest w ołtarzu św. Antoni, zdający się być penszla Lexyckiego, gdyż manierą przypomina jego obrazy w kaplicy Ukrzyżowania. Na nim najlepiej można się przekonać, że Lexycki pilnie studiował z pierwszej ręki; dość spojrzeć na kobierzec znajdujący się w obrazie, a na myśl przyjdą malarze flamandzcy, tak skrupulatni w oddawaniu przedmiotów martwej natury.

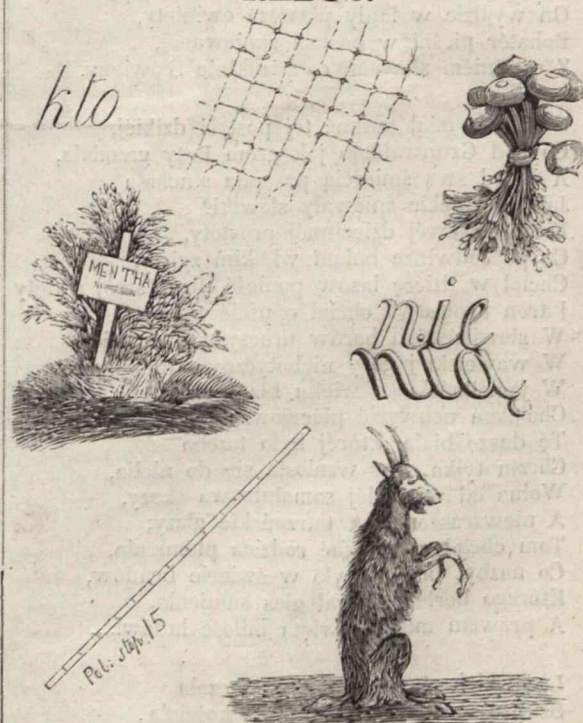
Szkoda, a raczej niedbalstwa winna, że dotąd, choćby w litografii, nie mamy żadnej kopii tych malowideł Lexyckiego. Wprawdzie znany rytownik, p. Oleszczyński, wykonał rycinę wyobrażającą św. Franciszka, z podpisem, że to kopia obrazu Lexyckiego znajdującego się w Wilnie. Być może że dzieła tego malarza znajdują się także i w stolicy Litwy, lecz nie mamy pewności tylko o tych, co są u bernardynów w Krakowie i na Kalwarii; wszakże to nie przeszkadza, żeby ów św. Franciszek, przypisywany Lexyckiemu, nie był utworem penszla Annibala Carracci. Takie wzbogacanie sztuki

Stadnicka, także z domu Zebrzydowska. Stroje starożytne na tych portretach zasługują aby weszły do jakiego zbioru ubiorów. Podobnie portret Zebrzydowskiego, który tak wielką grał w historii rolę i taką po sobie zostawił pamiątkę jak Kalwaria, godzien znaleźć miejsce w waszym Illustrowanym Tygodniku, tém bardziej że dotąd nigdzie nie był rytowanym.

Naprzeciw kościoła, na pochyłości góry, widać pałac w ruinie; do niedawna był on jeszcze mieszkalny. Książę Kazimierz Czartoryski, niegdyś właściciel Kalwarii, rezydował w nim i świetny dwór trzymał. Później przez rząd austriacki był gmach ten obrócony na jakieś składy, które go przyprawiły o zniszczenie.

(Ob. Dod.)

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 84. Pamiątki Paska malują żywo, co w Koronie działo się w czasie kampanii Szwedów za Karola Gustawa.

(Dodatek.)

W niewielkiej odległości od miasteczka, na błoniach, leży wieś Zembrzydowice, z klasztorem i szpitalem braci miłosierdzia, fundowanym przez Zembrzydowskiego w wieku XVI. Do roku 1796 utrzymywali klasztor i szpital bonifratrzy; dopiero rząd austriacki zabral fundusze, dotychczasowych zakonników usunął, a na miejsce ich sprowadził w r. 1800 tak zwanych czeskich braci, którzy od tego czasu utrzymują szpital.

Okolice Kalwarii, jak wspominałem, obfitują w mnóstwo historycznych wspomnień; lanckorońskiego zamku zwaliska mogą ich dostarczyć niemało. Do stromej góry, na której wznosi się zamek, przylega małe, ściśnięte miasteczko, które doznawało często przykrych losów, z powodu oblężeń jakie zamek wytrzymał. Z murów i baszt zamkowych zostały tylko szczytby, z kądem najwspanialszy widok na okolicę, sięgający po Kraków z jednej, a po szczyty Tatrów z drugiej strony. Lanckorona była starostwem niegrodowem; trzymali ją panowie z Brzezia herbu Zadora, co się nazwali później Lanckorońskimi. Siedzieli tam po nich Łascy i jeden z nich Wojciech, stronnik rakuski, opierał się Batoremu; lecz król każe dobywać zamku, a dobywszy, z ziemią go zrównać. Wyproszono jednak ocalenie grodu. Starostwo lanckorońskie dostało się potem Mikołajowi Zembrzydowskiemu. Ostatnim starostą był Józef Wielopolski; dziś dobra te należą do książąt Montleary, spowinowaconych z domem Carignan.

Naprzeciw ruin Lanckorony, za klasztorem kalwaryjskim, pnąc się pod górę lasem okrytą, można znaleźć szczątki zamku Barwałdu, leżącego na samym szczyście góry Żar. Gruzy tworzą krzakami zarośnięty czworobok, do stu kroków długi, a ze czterdzieści szeroki. O tych zwaliskach lud przechowuje podania i wierzy że są siedzibą złych duchów, wyrządzających psoty mieszkańcom, co pokazuje że pamięć drapieżnej Włódkowej dotąd nie wygasła.

Józef Lepkowski, mając sobie udzieloną kronikę klasztoru kalwaryjskiego, wyjął z niej kilka szczegółów o Barwałdzie, które tu przytaczam. Zamek ten należał do książąt Oświęcimskich. Siedział na nim Włódko (Władysław) Skrzyński, głośny ze swego łupieństwa i gwałtów. Kiedy Kazimierz Jagiellończyk kupił ks. oświęcimskie i do korony przyłączył, Włódko już nie żył, ale żyła jego małżonka Katarzyna, która prowadziła dalej rozbójnicze rzemiosło po nieboszczyku. Gdy do uszu królewskich doszedł odgłos jej gwałtów i rozbójów, król rozkazał staroście Lanckorońskiemu, będącemu w dobrej zażyłości z Katarzyną, aby ją pojmał i oddał w ręce władzy. Rozkaz ten doszedł uszu czujnej niewiasty; umyśliła więc cios uprzedzić. Tym końcem zaprosiła do siebie starostę Lanckorońskiego na świetną ucztę. Starosta, nie w ciemności, przybył z liczną służbą, która pokryła się po krzakach otaczających zamek.... Podczas uczyły uprzejma pani niczego nie szczędziła aby ująć gościa, nietylko jedwabnymi słówkami, lecz i gestami pułkami wina; widząc jednak że trunek jakoś staroście nie odbiera zdrowych zmysłów, zniecierpliwiona dobiła sztyletu i uderzyła w niego — lecz ostrze, napotkawszy blach żelazny pod szatą, ześlizgło się.

Zapewne na znak dany, wpadli ludzie starosty i związali Włódkową, którą zaraz powieziono do Krakowa i tam żywcem na stosie wśród rynku spalono. Zamek skonfiskowany, dostał się potem Piotrowi Komorowskiemu, panu na Liptowie i Żywcu, który zaczął także przeciw królom knuć jakieś niedobre zamiary, co spowodowało że wysłano z wojskiem Jakuba Dembińskiego, starostę krakowskiego, aby to gniazdo opryszków z ziemią zrównał, co się też i stało.

Spotykane tu i owdzie gruzy na najwyższych szczytach, należały do zamków pierwszej epoki, i były, jak się domyślać można, siedliskiem panów, co w obyczaju naśladować chcieli niemieckich Raubriterów, szczególnie tu od strony Węgier i Śląska. Kroniki nasze wspominają o zburzeniu kilku takich zbójceckich gniazd. Silniejsza i na prawach oparta organizacja rzeczypospolitej, nie mogła scierpieć tego rodzaju samowładzów, zadzierających częstokroć z samym królem. Odtąd jeżeli budowano zamki, to w nizinach, lub na dostępniejszych wzgórzach, i te do nowszych prawie czasów dotrwały, kiedy po tamtych często nie zostało inną nazwy, jak: grodek, grodzisko, zamczysko, zamkowa góra i t. d. Byłaby to niezła wskazówka, żeby archeolodzy nasi zebrali na miejscu ślady takich pierwotnych zamczysk; możeby z tego wytrysło jakie pewniejsze światło.

L. S.

KON.

Ej zrebce ty siwy,
Arabskiej krwi dziecię!
Włos ciemny twój grzywy
I gęsto się plecie.

I strzygą twe uszki
Nadełba krawędzią,
I lotne masz nóżki,
A szyję łabędzią.

Czy dola twa bliska,
Żeś zarżał głęboko?
Z twych nozdrzy żar pryska
I w ogniu twe oko.

Już los twój cię wita;
Los jasny i nowy;
Twe małe kopyta
Okują w podkowy.

Boś z przodków twych cnoty
Pod siodło przydatny;
Więc weźmiesz rząd złoty
I czaprak szkarłatny.

Na świetne twe strzemie
Poskoczy wódz śmiały,
I hufców swych plemię
Powiedzie do chwały.

Gdy trąbka donośna
Uderzy w znak boju,
Gdzie strzelba grzmi głośna
I kipi war znoju,

Wśród huków i szeptów,
Gdzie męże śmierć ściele,
Pan siły i wdzięku,
Wódz z tobą na czele.

Rycerska odwaga
Rozpala krew wiary,
I nacisk się wzmaga: —
Wróg traci sztandary.

I pierzcha w około,
Złamane ma szyki;
Wnet zabrzmią wesoło
Zwycięstwa okrzyki.

Twój pan cię osłoni,
Rozkiewna, rozbroi;
I z własnej swój dłoni
Nakarmi, napoi.

A ludu podanie
Uwieczni te dziwy;
W pomniku tam stanie:
Wódz dzielny, koń siwy.

E. Znatowicz.

PODRÓŻNY I SIEROTA.

(DIALOG.)

Kto dzieckiem łeb urwie hydrze,
Młodzieńcem zdusi centaury!

PODRÓŻNY.

Dzień dobry chłopcze! w waszym pięknym dworze
Śród zgłiszcz wioskowych, co to za pan mieszka?
Lud jego biedny, bo w serca bezdroże
Pewno ludzkości nie wiedzie tam ścieżka?

SIEROTA.

Mylisz się, bracie. W całej okolicy
Dzień nasz słynie jak człowiek sercowy;
Choć wioska w nędzy, lecz z dworskiej skarbnicy
Wspomógł dom sieroty, szpital dźwignął nowy.
Ja sam — podrutek — niemało doznałem
Jego dobroci i jego szczodroty;
Razem się z młodym paniczem chowałem,
Dach dworu tego — był dachem sieroty.
Prawda że magnat biędy nie popieści,
Że żona jego przybłądła mię zowie,
Że służba dworska łąje i beczceści,
Jak szczenię drażnią przyjezdni panowie;

Że gdy pan gniewny na żonę lub dwornię,
Ofiarą gniewu — *podrzutek niecnota*,
Że gdyby krzywdy tej nie zniósł pokornie,
Psami wyszczuty zostałby za wrota:
Ale cóż robić? — szemrać się nie godzi,
Za chleb kamieniem Pan Bóg rzucić broni,
Szczęśliwsza przyszłość może złę nagrodi
I z poniżenia wydzwignie mię toni!

PODRÓŻNY.

Odwagi chłopcze! Dzień próby — nie wieczność,
Przez cierni po palmę: to życia konieczność!
Gdybys w kolebce miękkiej wyhuśtany,
Przez siatkę pieszczot patrzył w dal błękitną,
I widząc żywot kwiatami ułany,
Sądził że róże nigdy nie przekwitną,
Że złote gwiazdki nie zgasną, — a ciebie
Los-ojczym z wonnych puchów nie wygrzebie:
Wówczas, bądź pewien, mały bohaterze,
Że młodość twoję rdzy zjadłaby wczesne,
Sztandar nadziei — w utrapienia krzyże,
Laurby się zmienił w dzikie chwasty leśne!
Lecz że cię nędza na kamiennym progu,
Nie na jedwabnej nianczyła pościeli,
Że prócz sił własnych i nadziei w Bogu,
Nikt ciebie nie wiodł po życia topieli:
Toś dzisiaj silny siłą Herkulesa,
Duch twój — to władca losu samodzielny,
Gdy zechce — z prochu skreć życia wykrzesza,
Gdy technie — płód świata wyda nieśmiertelny!
Więc idź, mój synu, idź tym krzyżem szlakiem,
W ogniu pokory hartuj umysł męzki,
Nim nad te niwy wleciesz wolnym ptakiem,
Nim sztandar *pracy* rozwiniesz zwycięzki!
Gdy dzień twój błysnie — oni korne czoła
Ugną przed tobą, wieniec rąk oplotą,
Do herbowego pociągawszy koła,
Pić będą zdrowie twoje czarą złotą:
Ale ty, dumny przeszłości cierniową,
Pochwał nie przyjmiesz, nie zasiędziesz z niemi,
Za chleb ci dany, ramieniem lub głową
Zapłacisz panom rękami szczodremi!

SIEROTA.

Dobry człowieku, ty skrzydłem anioła
Wylekłe chłopię otulasz przed burzą;
Teraz niech sobie dnie próby się chmurzą,
Silny nadzieją w proch nie ugnę czoła!
Niechaj pan każe karmić swe szczeniata,
Panicz — w pajaca ubiera opończy,
Zniosę bez szemrań, bo wiem że poczęta
Dola ma łzami, tryumfem się skończy!
Bywaj zdrow ojcie! idę nad strumieniem
Zbierać dla paniąt dzwonki i powoje,
By woń słów twoich, zmieszać z kwiatów technieniem.

PODRÓŻNY.

Nie bluźń! wonniejsze krwawe ciernie twoje!

Edward Chłopicki.

SZLACHCIC HOŁOTA.

OBRAZEK OBYCZAJOWY

Z PIERWSZEJ ĆWIARTKI WIEKU DZIEWIĘTNASTEGO

PRZEZ

Lacha z Lachów.

(Dokończenie.)

Już do śpiewu *da capo* pierwszy się pluton gotował, bo gardła strojąc, chrząkał, kiedy od lewej strony, od lasu, zaleciał śpiew inny, poważny, uroczysty a rzewny, i wysuwała się z lasu banda różnobarwna wieśniaków i wieśniaczek, wracających z odpustu, z Częstochowy.

— Stać ułany! zakomenderował pan kapitan Bogucki.

— Lud z panem Bogiem! naprzód!

A kiedy lud pobożny, z chorągwią, z krzyżem i z matką Boską na czele, z bocznej drogi na główną drogę się wsunął:

— Baczość! zakomenderował znowu pan kapitan Bogucki.

— Prezentuj broń!

A potem wszyscy już razem: lud, ułany, obywateli i dziewczęta, ciągnęli powolutku do miasta, wszyscy razem śpiewając: „Kto się w opiekę poda Panu swemu!”

Jużto podobno nowina całemu światu wiadoma, że

ułany do projektów jedyne. Więc za ledwo stanęliśmy w Kurowie i panowie mężowie po miętówce do bigosu się wzięli:

— A czyż to panie nie odwiedzają ogrodu w Olesinie? Wniósł któryś z poruczników. Ogród piękny, angielski. Już to pewnie takiego drugiego w całej Polsce nie znajdzie.

— Mam! Jam jeszcze nigdy angielskiego ogrodu nie widziała, rzekła panna Białecka.

— A to trzeba, trzeba koniecznie iść do ogrodu, zawołały chórem wszystkie ułany.

I dalejże podawać, ten kapelusze pani Bojarskiej, ten mantylkę pani Szpinalskiej, ten szal pani Ostrzewskiej, ten salopkę pani Kostrzewskiej, ten woreczek, ten parasolkę, że ot jakoś tą razą nie upłynęło pięć minut, a już ułany z mamusiami i córusiami ciągną sobie w parach do ogrodu olesińskiego.

— A też z pana pokusa, szepnie pani Bojarska, i jakby chciała rączkę z pod ramienia pana porucznika wysunąć; ale pan porucznik nie w ciemnię bity, i jakoś biedna rączka jeszcze się głębiej pod ramię pana porucznika wsunęła.

— Żebyśmy kiedy była malarzem, rzecze pani Szpinalska, tobym zaraz diabła po ułanów odmalowała. A pfe! pfe! pfe! Dajno pokój figlarzu! Kto to widział do meżatki się umizgać? A to żeby mąż widział!...

Wtém weszliśmy do ogrodu olesińskiego. Piękny ogród! niema co mówić. Drzew wiele, cienia wiele, zieloności i kwiatów wiele, labiryntów, klombów, altanek i kanapek bez liku. Istotnie, jakby diabły lub ułany założyli ten ogród. Ułany chciały gwałtem wprost do ogrodu, ale odzwierzy, czy tam murgrabia, jak się zaczął napięrać a przechwalać, że przesłizne rzeczy pokaże, więc wstąpiliśmy do pałacu. Wszakże zaraz się to wykryło, że murgrabia nie miał wcale z cém się przechwalać i napięrać. Nie było tam ani onęj laski marszałkowskiej Potockiego Ignacego, z którą w ręku sejmowi przewodniczył; ani pióra którym pisał i podpisał ustawę; ani rękopisów księdza Piramowicza, które po wieczorach i całych nocach przyjaciółom czytywał; ani onęj spisanęj między nim a Potockim umowy, że który pierwszy z nich umrze, ten temu, jeżeli to w mocy jego będzie, w jakiś się sposób pokaże. Tylko murgrabia, jak bąk jaki natrętny, ciągle huczał nam w uszy:

— Oto jest biczyk Olesia, z którym się za psami i kotami uganiał.

— A to trąbka Arturka, co potem okazał tyle sprytu łowczego:

— A to nożyk po Guciu!

— Świstawka po Adasiu!

— Naczynko po Natalince!

— A to!...

— Dosyć! Dosyć tego będzie dla nas dzisiaj, mój pocziwy murgrasiu, zawołał któryś z ułanów, a zaś drugi z nich coś mu tak ważnego wcisnął do łapy, że murgrabia dziękując, aż do ziemi się schylił.

To nie lubelskie pamiątki, pomyślałem sobie, ale odbije ja to sobie w Puławach.

— Do ogrodu! Do ogrodu! wołały chórem ułany, i zesłiśmy skacząc po schodach wprost do altany, do której za ledwieśmy weszli, wnet zabrzmiąła skryta w cieniu drzew muzyka, a tak dzielnego i skoczno mazura, że jakoś najprzód drgnęła jedna nóżka pani Bojarskiej, a potem obie nóżki pani Szpinalskiej, z razu zwolna, potem coraz to żywiej, że znowu nie upłynęło pięć minut, a już tniem sobie wszyscy mazura, że jeśli to widzieli, to się w niebie śmieli sami anieli.

Tańczył zaś pan Jarzyna z panią Bojarską, pan Kalina z panią Szpinalską, pan Jaworski z panną Białecką, pan Dębowski z panną Czarnecką, pan Klono-wicz z panią Ostrzewską, — mnie się jakoś pani Kostrzewska dostała, a iż była w stanie poważnym, więc ułany szeptały, że jednakże akademik nie głupi, bo na raz z dwoma tańcuje.

Żebyż było na tēm się skończyło. Ale gdzie zaś? Wtędy właśnie po raz pierwszy, ale na zawsze, do-wiedziałem się, co mogą sztuki ułanckie. Bo za ledwo muzyka ucichła i tancerki zaczęły sobie chusteczkami pot z czoła, a tancerze nosy z kurzu wycierać, a przytęm dla ochłody i wypoczynku przechadzać się po altanie w okolo, aż tu wnoszą ułany na ogromnych tacach piramidy z ciast, cukrów, pomarańcz, limonady, orszady, lody, że aż słońce takimi łakociami znęcone, spuściło się ku ziemi i na dobre ku zachodowi się miało.

Kiedy tak towarzystwo żeńskie nie traciło darmo czasu z ułanami w ogrodzie, tedy równocześnie pan kapitan Bogucki, zawsze bardzo dbały o utrzymanie ułanckiego honoru, podejmował jaknajgościnniej towarzystwo męskie, przy pomocy wielebnego księdza proboszcza i szanownego burmistrza miejscowego, u któ-

rego pan kapitan Bogucki stał podonczas kwatęra, — a którzy w trójcy takiej, tworząc połączenie władzy duchownej, cywilnej i wojskowej, stanowili wyśmienite: *omne trinum perfectum* pocziwego Kurowa. Bawiły się więc dobrze panie, panny, ułany, słowem młodzież w ogrodzie, i bawili się dobrze panowie mężowie i ojcowie, czyli starszyzna w domu pana burmistrza, tak iż wszystkim czas tak mile i tak szybko płynął, że kiedy pierwsza jednakże pleć piękna, zachodząc słońcem wypłoszona z ogrodu, powróciła do miasta:

— A to już panie z powrotem! wykrzyknął zdziwiony pan Ostrowski.

— Myślałem że to dalej ten ogród olesiński, dorzucił pan Kostrzewski.

— A którażto godzina?

— Pewnie już dziewiąta, jeżeli nie więcej, bo jak uważam, słońca już nie widać, — już zaszło.

— A to dziwy nad dziwy! Co to może przyjemne towarzystwo. Ani mi też przeszło przez głowę, żeby już tak późno być miało, zawołał pan Kasperek, po raz pierwszy od rana patrząc na swój zegarek.

— Późno, i nie późno! zawołały zaraz figlarne ułany. Późno na Puławy, czyli podróż do Puław; nie późno na Kurow, czyli nocleg w Kurowie.

— Ale przecież tu nie będziemy nocować, rzekła opuszczając oczki pani Bojarska. Jeżeli już niepodobna jechać dzisiaj do Puław, to już lepiej powrócić do Lublina.

— Co lepiej! Dlaczego lepiej powracać do Lublina? zawołał wcale z ogniem, bo już dobrze podchmielony małżonek pani Bojarskiej. Ja z mojej gęby pieca ciepłego i zimnego robić nie zwykłem. Powiedziałem na wyjeździe z Lublina że do Puław jadę, więc nie wrócę do Lublina jak z Puław.

— Ależ dzisiaj mężuleczku, jak słyszałeś iż to zdanie powszechne, już zapóźno do Puław.

— To pojedziemy jutro.

— Ależ tymczasem gdzie będziemy nocować?

— Mnie już na noc zaprosił nasz kochany i gościny pan burmistrz, i to mówiąc uściśkał pana burmistrza pan Bojarski trzy razy, — a acani możesz przenocować u pani burmistrzowej, pewnie gościnnie jak małżonek, i noclegu żonie przyjaciela swojego nie odmówi.

— Ależ mężuleczku, zapominasz się że pan burmistrz kawaler.

— Dajże pokój i nie sprzeczasz się z mężem, szepnie pani Szpinalska. Jużciż Bóg miłosierny nie opuści nas pewnie. Znajdują się i w Kurowie ludzie uprzejmi, co nam, biednym kobietom, nie odmówią przecież noclegu.

I stanęło po ogólnej, a więc coraz to gwarnej naradzie, że ponieważ jechać dzisiaj do Puław istotnie już za późno, a zaś powracać do Lublina jeszcze później i niepodobna, więc wszyscy zanoćją w Kurowie, czyli panowie mężowie i ojcowie przez noc całą pić będą u burmistrza, a zaś żony i córki przez noc całą będą tańcować z ułanami. A nazajutrz! Nazajutrz, jak się wszystko prześpi i wyśpi, odpoczną i wypoczną, to już wszyscy prosto w drogę dalszą do Puław.

— A tak!

— A tak! Zgoda! Zgoda!

— Ślicznie! pięknie! prześlicznie! wołano ze stron wszystkich.

— Dawaj wina!

— Tnij mazura!

— Wiwat! hura!

— Wina! mazura!

I nie były to wołania na puszczy, bo wnet połało się wino, istnie jak w Kanie galilejskiej, i potoczył się mazur, jaki trzeba by widzieć, żeby go opowiedzieć, i tak się to już lało i toczyło, aż do dnia białego nazajutrz.

A nazajutrz! A nazajutrz znowu trzeba było poczekać i przeczekać, aż się wszystko przespalo i wyspało, odpoczęło i wypoczęło, wytrzeźwiło i znowu podchmieliło, że za ledwo znów z zachodząc słońcem przypomniat ktoś sobie, i bodaj nie ksiądz proboszcz, który miał nazajutrz być z kazaniem w Puławach, żeśmy wszyscy mieli jechać dzisiaj do Puław.

— A to prawda! A prawda! odezwowało się parę głosów, ale nie bardzo głośno.

— A to prawda! zawołał głośnie od innych, uderzając się w czoło, pan Bojarski. A byłbym na śmierć zapomniat. Bartek! Bartek! zaprzęga!

— Ależ dzisiaj, mężuleczku, dziś już później jak wczoraj, rzecze skromnie i łagodnie pani Bojarska.

— Co później! Dla kogo później? Dla mnie nigdy za późno! ofuknie pan Bojarski. Jadę! Jadę!... I dalejże wołać z całego gardła: Bartek! Bartek! zaprzęga!

— Ależ szanowny i kochany panie Bojarski! pocznę tkliwie któryś z ułanów.

— Ależ przecie, jeśli kto, to tak mile i radośnie w kole naszym widziany obywatel lubelski, nie będzie nam zrywał zabawy, co tak rzadko zdarza nam się w Kurowie, zawołały razem wszystkie ułany.

— Oho! Słowo się rzekło! Ja być muszę w Puławach. A jutro muszę też być z powrotem w Lublinie. Interesa przedewszystkiem! A to pięknie byłoby! Imość! Żonko! Gdzie moja laska i czapka?

— Ależ łaskawy dobrodzieju Bojarski!

— Ależ wielmożny panie dobrodzieju Bojarski!

Nic w tēm! Nic w tēm! Nie skusisz panie burmistrzu! Nie dokażesz swego panie kapitanie Bogucki! A iżbyście wszyscy wiedzieli, iż mię od zamiaru nie odwiedziecie, więc wam klę się, zawołał pan Bojarski padając na kolana, że jako oto ten palec prawy na lewym palcu, i jak Pana Boga i moję żonkę kocham, tak jadę zaraz do Puław. Bartek! Bartek! Zaprzęga!

Po takim zaklęciu się nie było już sposobu na pana Bojarskiego, lecz że upór jednego nie zobowiązywał innych, więc znowu po zgłębliwej naradzie stanęło, że to zapewne już najlepiej tak będzie, jeżeli kto chce koniecznie, w towarzystwie księdza proboszcza i szanownego pana Bojarskiego dzisiaj sobie pojedzie do Puław, a zaś kto łaskaw pozostanie w Kurowie, a jak tamci z Puław powrócą, to już wtenczas na prawdę, jedni z panem Bojarskim powrócą do Lublina, a drudzy do Warszawy, lub gdzie sobie kto zechce.

— Brawo! Brawo! Śliczny projekt! Przესliczny! zawołały znowu chórem ułany. A tēm ślicniejszy i prześlicniejszy jeszcze, że każdemu wolność zostawia.

— Dawaj wina!

— Tnij mazura!

— Strzemiennego!

— Rozstajnego!

I znowu zabrzęczały kielichy i potoczył się mazur, a przytęm gwar, zgłęb, chaos i zamieszanie takie, że do dzisiaj sprawy sobie zdać nie mogę, jak to się stało, że znalazłem się w jednym z wozów, i że właśnie wjeżdżaliśmy do Puław, kiedy kury na świt piąć zaczęły.

Puławy! Piękne, sławne widokami i osobliwościami Puławy! A my do nich przybywamy po ciemku! Żałowałem tej straty, bo chociaż mało jeszcze podróżowałem był po świecie, ale to już wiedziałem, iż ażeby użyć prawdziwej przyjemności widoków i poznać okolicę, trzeba jej pozwolić rozwijać się stopniowo przed wzrokiem naszym, a nie zaś oglądać ją już w miejscu, całą na raz, jakby ryczałem.

Wszyscy, ilu i ile nas było, rozłożyliśmy się w oberży, jak kto mógł i jak umiał, a nazajutrz, po przekasce, po mszy świętej i po kazaniu, ruszyliśmy wszyscy przed pałac. Obszerna i wspaniała budowa, bijące przed nią wodotryski, rozstawione posągi, odwieczne drzewa, dały mi od razu wyobrażenie cudów, które wewnątrz mieliśmy podziwiać.

Przez bramę, zawsze gościnną, więc otwartą, a nad którą stał napis: *hic mihi terrarum praeter omnes angulus ridet*, weszliśmy do ogrodu, — i natychmiast zbliżył się ku nam uroczysty, uroczysty, bo w czarnym fraku, w czarnych szarawarach, ale w białej kamizelce, białej chustce i z kapeluszem w ręku, cały ogolony, a rumiany i otyły jegomość, który kłaniając się i slaniając za każdym krokiem, oświadczył, że z wyższego rozkazu będzie nam służył za przewodnika i tłumacza, i tak zaraz prawić też począł:

— Na tēj tam wysokości, jak ta długa z drzew przedstuletnich kończy się aleja, widzą państwo świątynię Sybilli. Jedna to z najpóźniejszych osobliwości tutejszych, a jednakże pod sklepieniem jej spoczywają liczne pamiątki wieków przeszło dziesięciu. Co do założenia czyli początku Puław, różne są podania i zdania, ale to pewna, iż przy końcu XVI wieku były w posiadaniu rodziny Tęczyńskich, a następnie Lubomirskich, potem Sieniawskich, aż spalone i zrównane z ziemią przez Szwedów, tak iż po stosie tylko gruzów rozpoznawano ich miejsce, przeszły r. 1750, przez zaślubienie się Zofii Sieniawskiej, ostatniej ze swego rodu, z Aleksandrem Czartoryskim, w posiadanie tēj już rodziny, i ich to staraniem, jak on Feniks z popiołów, przyszedł do tēj swojej dzisiejszej świetności.

Trzeba też bo przyznać, że i okolica, najpiękniejsza z śród najpiękniejszych, na jakie się zdobyć mogła przyroda, nie była tu i nie jest niwą niewdzięczną. Najwspanialsza i najpoważniejsza, rzecby matka rzek polskich, liczne a szumiące i mruczące strumienie, rzecby jakby dzieci do nięj spieszące, odwieczne drzewa przerozmaitego kształtu i przerozmaitej barwy i nazwy, zielone gaje, strome góry, nagie skały, ciemne grotty, kręte wąwozy, uroczyste doliny i łąki, a wszystko to dziwnie przyjaznym i ułatwiającym sposobem do-

pomagało pomysłowi i przemysłowi, sztuce i nauce, gustowi i nakładowi, do stworzenia i zgromadzenia tutaj onych cudów i trudów.

Przeszedłszy długą i szeroką z drzew spaniałych aleję, stanęliśmy u podnóża świątyni, zwaną Sybillą, na wzór i podobieństwo Sybilli tyburtyńskiej zbudowanej w Tivoli, w cieniu drzew i krzewów na wzgórzu jasniejącej, i zaraz z po nadebrzwi wchodowych uderzył nas napis: *Przeszłość—Przyszłość*. Świątynia ta składa się z dwóch oddzielnych części: dolnej i górnej, z których pierwsza, jak gdyby tylko służyć mająca za posadę drugiej, przedstawia obraz najzupełniejszej prostoty i skromności, kiedy druga, otoczona wspaniałymi kolumnami korynckiego porządku, zadziwia przepychem i wykwapnością, a obie przepięknie były mnóstwem, ani słowem, ni piórem nieocenionych krajowych z różnych epok pamiątek.

W niewielkiej odległości od tej świątyni Sybilli, postrzegliśmy drugą świątynię, od stylu swęj budowy *Gockim domkiem* zwaną, a przeznaczoną na przybytek i przechowanie osobliwości pozakrajowych, zawsze jednak styczność i stosunek z krajem mających. To też nad drzwiami, na zewnątrz, położono napis: *Sunt lacrymae rerum et mentem mortalium* a zaś na prośt drzwi, wewnątrz, odpowiednie zdanie po polsku.

Z kolei przeszliśmy do pałacu, lśniącego się od złota, srebra, kryształów, marmurów, alabastrów, niepoliczonych malowideł i tym podobnych cudów i kosztowności, a następnie do biblioteki, którą przebiegliśmy szybko, ale nie bez podziwienia, na widok tylu tysięcy ksiąg i książek, rycin i rękopisów, a potem do skarbcza, w którym znowu stosi i kolumny lyżek, widelców, nożów, waz, półmisek, lichtarzy, a wszystko złotych i srebrnych, talerzy, salater, szklanek, kielichów, puław, imbryków, filiżanek, a wszystko z porcelany saskiej, angielskiej, chińskiej, japońskiej, i już niewiem jakiej, do reszty mię ołsnily, aż zesłaliśmy znów do ogrodu, między cienie i półcienie drzew, krzewów, ulic, klombów, kwiatów, muraw, trawników, wód, strumieni, kaskad, fontan, oraz do zwierzyńca, wśród jelenie, sarny, danielę, łabędzie, i t. d. A gdyśmy już to wszystko, i doliny i góry, i ziemię i wody, i jaskinie i labirynty, na ziemi i pod ziemią zwidzili, tak mi się w głowie poplątało, pomógł i rozszumięło, że kiedy sobie dziś jeszcze do pamięci te odwiedziny przywodzę, to mi się zaraz to wszystko maci, płacze i jakoś szumi po głowie.

Po tak długiej, po woskowanych posadzkach i drogach zwirowanych podróży, wszyscy czuliśmy się znużeni, że jednakże ksiądz proboszcz był zakończył swe kapłańskie posłannictwo w Puławach, a zaś pan Bojarski, dotrzymawszy danego słowa w Lublinie, mógł już z czystym sumieniem powrócić do Lublina, więc odetchnawszy nieco, i naprędce się posiliwszy, znowu pod noc wieczorem, ruszyliśmy wszyscy taborem z powrotem do Kurowa, z kądem znów nazajutrz, my znowu przez Puławę, puszcziliśmy się w dalszą ku Warszawie drogę, a pan Bojarski, z towarzystwem lubelskim, po długich pożegnaniach, serdecznych uściśnieniach i pocałowaniach rącek, żałosnych westchnieniach ułanów, i jak to uważałem, niejednej łezce kręcącej się w oczach pici pięknej, powrócił do Lublina.

We dnie tą razą, zbliżając się do Puław, wynagrodziłem sobie poprzednie odwiedziny nocne, i istotnie nasycić się nie mogłem cudnymi widokami rokosznego ich położenia. Rozigrany, oczarowany, szalony wpadłem do ogrodu, pobiegłem do Sybilli i do domku gockiego, pod ziemię, do grot, wśród skały, między drzewa i krzewy, ponad wody spokojne i mrujące strumienie, i jak wprzód w gwarliwym towarzystwie, tak podobnie samotny, znajdowałem wszystko piękne, czarujące, uroczę; ale że to jakoś na wojnę klasycyzmu z romantycznością właśnie się zanosilo, więc, chociaż księżyc świecić już poczynął i ulicą z jaworów wracałem nad potokiem, ja, zamiast śpiewać po dawnemu:

„Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły!“

Albo:

„Potok płynie doliną, nad potokiem jawory!“

Mówiłem sobie w duchu, a pomrukiwałem pod nosem:

„Ciemno wszędzie! Głucho wszędzie!“

„Co to będzie? Co to będzie?“

Przeprawa statkiem nazajutrz, na lewy brzeg Wisły, nastęczyła mi przyjemność nie tylko podziwiania raz jeszcze uroczej okolicy Puław, ale także wodnej wędrówki po jednej z najwspanialszych i największych rzek polskich. Potem już bez zatrzymania się, chyba na popasach tylko, mieliśmy traktem publicznym ciągnąć wprost do stolicy, przez Kozienice sławne niegdyś puszciami i łowami w nich królewskimi, a przebywszy Pilicę i zostawiając Warke mieniającą się wśród

zieleności i obłoków na lewo, a szczytając się grobami książąt mazowieckich i zwycięstwem nad Szwedami Stefana Czarnieckiego, i przez Ryczywół, o którym, choćby tylko przez wzgląd dla wiekopomnej pamięci biskupa Krasickiego, zamilczec wolę, i Czersk, starożytną książąt mazowieckich siedzibę. Z Czerska prowadził nas gościniec do góry, inaczey Górą Kalwaryą zwaney, ale w której, już pod on czas nawet, nie znaleźliśmy ani połowy tych kaplic i kościołów, przez tegoż Krasickiego dowcipnie opisanych. Wszystkie zesły niestety na browary, stajnie, obory i tym podobne nie duchowne pożytki. Ztąd już dalej jechaliśmy bez żadnych wrażeń i przygód, a powoli, jak zwyczajnie po delikatnych piaskach mazowieckich, gdy w tém, kiedyśmy na szlak nadwiślański ku Piasecznu zjeżdżali, zawoła nasz woźnica:

— A to my już chyba, imościuniu, tego lata do Warszawy nie dojedziemy!

— A to czemu? zagadnie moja matka, przecierając oczy, bo jakoś była się zdrémnęła.

— Boć, ot znowu, ciągną jakieś ułany, rzecze woźnica, tylko że nie mają czapek rogatych.

I istotnie zbliżało się ku nam klusem dwóch jeźdźców. Czapki na ich głowach wysokie, a okragłe jako bermyc, ze wstążkami, piórami i kwiatami dokoła i po bokach. Sukmany granatowe z karmazynowymi potrzebami i wylotami. Szarawary w prążki białe z czerwonym, a w cholewy. Przez ramiona białe przepaski czy ręczniki. Bat z trzaskawką w każdego rękę. A którzy, skoro się ku nam zbliżyli, zwalniając koniom ugłę i uchylając czapek, tak pospołu śpiewać poczęli:

„Koniami trzema i czterema,
A do szluby ją więdziema,
A więc prosim na wpół drogi,
Dla dziewczyny, dla niebogi.
Oj, dana! dana! dana!
A dziewczyna ukochana...“

Zemknął wnet nasz woźnica na pół drogi, tak będąc zagadnięty, a Mazury, pokłoniwszy się grzecznie, zatraskali batami, i dalej klusem naprzód, a wnet po nich nadciągnął oddział liczniejszy, podobnie jak tamci przybrany, tylko jeden z nich w środku, oprócz wstąg, piór i kwiatów u czapki, miał także wielki bukiet u kapoty przy boku, a którzy również wszyscy, uchylając wysokich swoich bermyc, razem zaraz śpiewali:

„Oj, jadaż, jadaż, w kolasach jadaż,
W kolasach z drabek, z wielką paradą.
A sto koni jedzie w przedzie,
A sto drugie w zadzie jedzie.
Chwała! bądź Bogu, żeśmy spotkali,
Żeśmy spotkali, kogom szukali.
A więc prosim razem z nami,
Z pocziwami Mazurami,
Na weselisko,
Kołacz i piwsko.
Oj, dana! dana! dana!
A dziewczyna ukochana...“

Zaraz za tą konną drużyną, szedł wóz we cztery konie, dwa po dwa zaprzężone, na przodzie którego grajki z basetą i skrzypcami, a zaś w pośrodku, między drużkami w wieńcach, wstążkach i zielonościach, panna młoda również suto po weselnemu wystrojona. Grajki rzęły po mazursku od ucha, gdy zaś drużki od siebie śpiewały jak umiały, ale zawsze składnie i ładnie:

„Zakukała kukaweczka nad strugą,
Jużże naszey Marysienki z nami nie długo.
Potoczyła Marysienka swój wianuszek po stole,
Jużże naszey Marysienki nie na długo w tém kole.
Hejże grajku! teraz grzmij!
Niechaj czerskie pole brzmi!
Oj, dana! dana! dana!
A dziewczyna ukochana!...“

Na następnym wozie dwukonnym, siedzieli w rzędy niewiasty podeszłego już wieku, a przetoż która, mając więcej prawa do wolności niż młoda, nuciły pieśń o chmielu, a która jednak, jak wszystkie inne, kończyła się słowami: „Oj, dana!“

Dalsze wozy zapelniała starszyzna mężka, która zamiast śpiewać, coś sobie tylko gwarzyła, lecz za to, na ostatnim wozie, jeden nad drugiego sadziły się wyrostki, wrzeszcząc z gardła całego:

„Jak ja byłem u tatusia, byłem bogaty,
Miał kurteczkę kusieczką, kiepus rogaty.
Gajdaki mi się zrodziły, trzeba wykopać,
A więc pukać, żony szukać, nuże się kochać.
Pszeniczka mi się zrodziła, trzebaż do Gdańska,
Ależ komu siedzieć w domu, pilnować łańska.
Ożeniłem się więc na Mazowszu,
Wziąłem w posagu trzy ćwiercie owsu,
Trzy ćwiercie owsu, dwie beczki sieczki,
Trzeba się cieszyć z takiej dziewczeczki.
Oj, dana! dana! dana!
A dziewczyna ukochana!...“

Przeleciało weselne grono, ucichło wszystko po dro-

dze i przy drodze, a jednak zdało mi się, iż ciągle widzę i słyszę te obrazy a śpiewy. Jechaliśmy ciągle piaskami, więc wolno; a iż zauważyłem, że woźnica, nie mając wiele do roboty z koniami i pusiwszy na wolę ich ugłę, coraz się ku nam oglądał, a co zwyczaj miał robić, kiedy chciał coś powiedzieć:

— I cóż chcesz nam powiedzieć, zapytałem go znowa.

— E, nie! Cobym ja głupi miał też państwu powiedzieć? Ja tylko sobie myślę, dlaczego tu lud, panie, taki wesół, a u nas taki smutny?

— Bo szczęśliwszy, rzekłem.

— A dlaczego, panie, szczęśliwszy? Czy to tutaj ziemia lepsza od naszej? Patrzą pan, jakie piaski a piaski! Tobie ledwo pod owsisko albo hreczkę się zdało. A u nas, zagon w zagon pod chleb albo placek. Byłem ci ja, przez ciekawość, i w tych ich pobielanych chałupkach. Bięda panie, jak u nas. Ej bodaj czy nie większa niż u nas. A jednak czy to stare czy młode, czy to chłop czy niewiasta, wszystko sobie wesole. U nas panie, jak to śpiewa, to zawodzi, że aż serce człowiekowi się kraje; jak pracuje, to płacze; a jak podpije, to jeszcze więcej płacze. A tutaj, tutaj panie czy to śpiewa, czy pracuje, a cóż kiedy podpije, to skacze, że końca temu niema. Więc ja sobie myślę, że to jednak, panie, musi być inna przyczyzna tej tu ich wesolosci.

— To dlatego może, rzekłem, że oświeceński.

Zamyslił się na to moje powiedzenie woźnica, lecz gdy właśnie kilka już się razy obejrzał, więc miał coś na języku:

— Stać! Rogatka! Odpakować tłumoki! doleciało do uszu naszych wołanie, a które nam oznajmiło, żeśmy tak sobie rozumując z woźnicą, ani się postrzegli że to Warszawa.

OSIEŁ I KONIE.

(BAJKA.)

W niedalekiej stronie

Dwa konie

Tak się biły,

Kaleczyły,

Że aż ośliśka, co na boku stało,

Serce zabolalo.

Co duchu na pomoc bieży,

A sądząc że bój uśmierzy,

Obraca się ów wyrodek

I nogami wierzga w środek.

Tak z łaski ośla

Walka jeszcze bardziej wzrosła.

Nadszedł człowiek, zawołał, ośla kijem zmierzyl

I bitwę między koniami w momencie uśmierzył.

Najmilsi bracia! w każdej przygodzie

Życie w pokorze, miłości i zgodzie;

A jeśli zawiść spory między wami zrodzi,

Niechże was osieł nie godzi.



Redakcja Tygodnika Ilustrowanego otrzymała od bezimiennego z antonopolskiej stacyi drogi żelaznej 2 rsr.

Panu baronowi G. w Płocku. Komunikowaną nam wiadomość, jako niestosowną dla Tygodnika, odesłaliśmy redakcyi Gazety Polskiej.

Ks. W. G. z Mianowic. Za dobrze ułożone końcówki szachowe uprzejmie dziękujemy; zrobimy z nich kolejny użytek. Rebusy nie zadane podług prawideł.

Panu S. B. w Warszawie. Więrszka p. t. „Brzezina“ drukować nie możemy.

DONIESIENIA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

S. H. MERZBACHA

przy ulicy Miodowej nr 482,

wyszło w nowym wydaniu dzieło, stanowiące tom Iszy pism Klementyny Hofmanowej p. t. Wiązanie Helenki, część Isza i Hga, przy którym jeszcze dodane są: Powieści małe, Rozmowy i Komedijki, oraz Powieści z Pisma świętego. Tom ten nadto ozdobiony jest 4ma litografiami i kosztuje złp. 10 czyli rs. 1 k. 50. Z innych pism tej autorki wyszły w tym samym wydaniu jeszcze następujące: Krystyna, Karolina, Święte niewiasty, Jan Kochanowski, Drezno i jego okolice, każde w jednym tomie po złp. 10 czyli rs. 1 kop. 50; Rozrywki zaś w 5ciu tomach po złp. 10. Wszystkie powyższe pisma nabyć można w każdej lepszej księgarni w Warszawie, na prowincyi i w cesarstwie.

KSIĘGARNIA

G. GEBETHNERA I R. WOLFFA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście pałac hr. St. Potockiego Nr. 415, otrzymała następujące nowości:

Łoziński W. Czarny Matwij. Powieść z życia ludu górskiego, 2 tomy, Lwów 1861, złp. 12. Zacharyasiewicz J., Powieści: Złotogóra, Fałszywy król, Konfederat. Lwów, 1861, złp. 9. Romanowski M., Projekta, powieść, Lwów 1861, złp. 6. Szajnoch K., Jadwiga i Jagiello, Opowiadanie historyczne, tom I z prenumeratą na 4 tomy złp. 40. Herodota dzieje, przekład z greckiego A. Bronikowski. Zeszyt I zawierający księgi I, II, Poznań 1861, złp. 7 gr. 15. Korczyński X. K., Katedra kijowska. Cieszyń 1861, złp. 2 gr. 20. Walkiewicz X. W., Katedra Poznańska. Cieszyń, 1861 złp. 4. Zejszner L., Początki mineralogii według układu G. Rose na krystalizacyi i składzie chemicznym oparte, z 424 drzeworytami wtekście wydrukowanymi. Warszawa 1861, złp. 22. Górski L., Uwagi nad obecnym stanem robotników wiejskich w Królestwie Polskiem. Warszawa 1860, złp. 3. Cały dochód z tego dziełka przeznaczony jest na cel dobroczynny.

Nakładem tejże księgarni i składu nut muzycznych, wydany polonez Kurpińskiego, „Witaj królu Polskiej ziemi”, jest do nabycia we wszystkich księgarniach po cenie złp. 1 gr. 15.

Nakładem księgarni Polskiej

ADAMA DZWONKOWSKIEGO i spółki.

wyszli:

Przewodnik dokładny dla odwiedzających święte, od wieków cudamisłone miejsce w Częstochowie, zebrany przez Józefa Lompe. Książka ta obejmuje przedmowę, pielgrzymkę na Jasną Górę, postać Jasnej Góry, Widzenia godne przedmioty, historia obrazu N. P. Maryi i t. p. Cena na zwyczajnym papierze bez obrazków 2 złp. (30 k.); cena wyjścia ilustrowanego 4 złp. (60 k.), egzemplarz elegancko oprawny ze złoconymi brzegami sprzedaje się po złp. 6 gr. 20 (rs. 1).

HETMANI POLSCY

KORONNI I W. X. LITEWSKIEGO.

Zeszyt 4ty wydany obejmuje portrety i biografie:

1) Pawła Sapiehy, (herbu lis) wojewody wileńskiego, hetmana wielkiego litewskiego. 2) Jana Klemensa Branickiego (herbu gryf) kasztelana krakowskiego, hetmana wielkiego koronnego. 3) Krzysztofa Radziwiłła (herbu trąby) wojewody wileńskiego hetmana wielkiego litewskiego.

Nakładem autora opuściło prasę w zakładzie artystyczno-litograficznym tejże firmy, dzieło dla każdego miłośnika koni lub zajmowanie się ich chowem bardzo ważne p. t. O *rassach koni* przez R. Froniepa, w języku niemieckim napisane, a ozdobione około 150 rycinami. Po polsku wydał i licznymi rycinami i opisami pomnożył J. St. Lewandowski, magister nauk weterynaryjnych. Cena złp. 10 (rs. 1 kop. 50). Skład główny w tymże zakładzie.

Nakładem tegoż zakładu, wyszła mapa kolej żelaznych w Europie, drugie poprawne wy-

danie przez A. Kozłowskiego, cena złp. 2 (kop. 30) w oprawie złp. 3 gr. 10 (kop. 50).

Księgarnia Polska tejże firmy odebrała w tych dniach następujące nowości: *Jadwiga i Jagiello*, opowiadanie historyczne przez Karola Szajnoch; cena z prenumeratą na wszystkie 4 tomy rs. 6 kop. 50. — *Żywot Tomasza Zamojskiego*, napisał Stanisław Zarkowski; cena rs. 2 kop. 25. — *Obraz gospodarstwa wiejskiego w Anglii, Szkocyi i Irlandyi*, przez Leoncusa de Lavergne; cena rubli 2. — *Początki mineralogii według układu Gustawa Rose*, skreślił Ludwik Zejszner z 424 drzeworytami; cena rs. 3 kop. 30. — *Historia kościoła powszechnego*, przez księdza Melchiora Bulińskiego; cena rs. 1 kop. 50. — *Hydraulika agronomiczna* czyli nauka o użytkowaniu i urządzaniu wód w gospodarstwach rolnych a mianowicie przy wykonywaniu robót około osuszania, drenowania i nawodniania gruntów z dołączeniem szczegółowych wiadomości dotyczących się wydobywania, przerabiania i wypalania na węgiel torfów, napisał Józef Sporny. Cena 2 tomów z atlasem rs. 6. — (Przy tej sposobności zwracamy uwagę czytającej publiczności, iż zostajemy w tego rodzaju stosunkach z innymi wydawcami, że każdą książkę polską, ogłaszając na sprzedaż przez inną księgarnię za tę samą cenę obstarujemy takową, księgarnia nasza dostarczyć obowiązuje się, co jest wielką dla kupującego dogodnością, wszystko bowiem co sobie życzy w jednym miejscu obstarować może.

KSIĘGARNIA

HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w domu JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17,

otrzymała następujące dzieła: *Hydraulika agronomiczna* czyli nauka o użytkowaniu i urządzaniu wód w gospodarstwach rolnych, a mianowicie przy wykonywaniu robót około osuszania, drenowania i nawodniania gruntów z dołączeniem szczegółowych wiadomości dotyczących się wydobywania, przerabiania i wypalania na węgiel torfów, napisał Józef Sporny 2 tomy z osobnym atlasem figur i planów wielkości tekstu. Warszawa 1860 cena rs. 6. *Jadwiga i Jagiello 1374—1413*, opowiadanie historyczne przez Karola Szajnoch, wydanie drugie poprawne, Lwów 1861. Tom Iszy z prenumeratą na 4ty rs. 6 kop. 50. — *Złote kajdany*, tragi-komedia w 5ciu aktach, wierszem

miarowym przez J. Korzeniowskiego. Wilno 1861; cena kop. 75. — *Herodota dzieje*, przekład z greckiego Antoni Bronikowski 8ka cena rs. 1. — Książka do nabożeństwa kościelnego i domowego dla wszystkich katolików przez X. Goffiniego 16ka, cena rs. 1 k. 35. — *De Nicolai Kopernici Patria Scriptis* Dr. L. Prowe, 8ka cena kop. 70. — O podatkach gruntowych stałych w Królestwie Polskiem obecnie istniejących, przez Wojciecha Trzetrzeńskiego, 8ka kop. 37 i pół.

Upraszam Wgo Józefa Zdembińskiego, którego pobyt jest mi niewiadomym, a z którym mam ważny interes do załatwienia, ażeby adres swój nadesłał mi raczył.

Fasoldt
Adwokat w Dreźnie

Dom handlowy

N. S. BRÜNER & COMP.

Ma honor zawiadomić prześwietną publiczność, że oprócz czynującego Składu Towarów galanteryjnych przy ulicy Miodowej pod Nr 492, otwarty został

W HOTELU EUROPEJSKIM

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście (pod Nr 15 nowym)

Drugi Magazyn

Towarów galanteryjnych francuzkich, angielskich i innych w najkompletniejszym wyborze, a mianowicie:

Pajaki, Zegary stołowe i ściennie, Świeczniki, Wazony, Kandelabry, Lampy stojące i wiszące. Konsolki, Bronzy do fronek, Laski, Broszki, Bransoletki, Deszczochrony, A tout cas Spieruzgi, Portmonetki, Cygarniczki, Pugilaresy, Kapelusze jedwabne paryżskie, Porcelany chińska, francuzka i starosaska, Kalosze i Paletoty gutaperkowe, Przybory do podróży, Toaletki, Nesseserki, Perfumy, Pomady, Mydła i wszelkie wyroby bronzowe i porcelanowe. Polecając się prześwietnej publiczności, wyżej wymieniony Dom handlowy starać się będzie przez najumiarkowanie ceny i rzetelną usługę, w nowym tym magazynie, zasłużyć sobie nadal na zaufanie i na względy, któremi dotąd Publiczność go zaszczycała.

LUDWIK SPIESS

Skład Główny w Warszawie,

ulica Senatorska Nr. 464/5, obok kościoła PP. Kanoniczek,

zaopatrzony został przy odpowiedniej porze roku

W PATENTOWANE

LAKIERY

FARBY OLEJNE

TARTE

we wszystkich kolorach i najlepszych gatunkach FARBY te, jak również i LAKIERY, są przyrządzone wprost do użytku, tak, iż każdy najmniej obeznany z sztuką malarską, może ich używać; i dla tego szczególnie zastosować się dają do robót dla osób zamieszkałych na prowincyi, gdzie większa trudność w dokładnym przyrządzeniu takowych przedmiotów.

NB. Sposób użycia jest na każdym naczyniu wydrukowany, a flaszki opatrzone są pieczęcią etykiety zakładu.

DOKTOR AKUSZERYI

przyjmuje osoby życzące sobie odbyć słabość w instytucie na ten cel urządzonym. Tajemnica ścisła na żądanie będzie zachowana.

Zgłaszać się należy franco pod adresem.

M. M. 49 post restante Berlin.

PATENTOWANE

Amerykańskie maszyny

DO SZYCIA

B. MOORE'GO.

Maszyny mojej konstrukcyi zastosowane być mogą w każdej rękodzielni, jako i w domowym gospodarstwie, są najprostsze, sumienne, wykonane; najtańsze. Maszyny moje są tak w armii Austrjackiej, Rosyjskiej jak i Pruskiej zaprowadzone, o użyteczności których nader pochlebne świadectwa posiadam. Cenniki zrysunkami tychże maszyn, oraz próby wszelkich rodzaj szwów, w najodleglejsze strony nawet, franco posyłam.

B. Moore z Nowego Yorka.

Założyciel handlu maszyn do szycia w Europie, w Berlinie französische str. Nr. 33.

SKŁAD HERBATY

WSIEWOŁODA ISTOMINA.

ZAWIADOMIENIE.



Przy coraz więcej upowszechniającem się używaniu w kraju tutejszym herbaty, której odbył ze składu mojego powiększa się z każdym rokiem, zamierzam uskutecznić w czasie bieżącego lata wycieczkę do tych miejsc, gdzie mieszkają główni pośrednicy hurtownego handlu herbaty, i od nich zakupię herbatę Fuczańską, z ostatniej wymiany. Tu winienem napomknąć, że sprowadza się także z prowincyi Szan-gajskich herbaty kwiecista, drogą morską do portu St. Petersburgskiego, wymieniania przez Kompanię Amerykańską. Chociaż pozorem swoim ta herbata nieci kupującego, ale co do smaku znacznie jest niższą, od gatunków czarnych Fuczańskich.

Nazwiska gatunkowe herbaty znane są tylko handlującym z Kiachtą; ogłaszane zaś w cennikach innych kupców nazwy gatunków zupełnie są dowolne. Wartość herbaty zależy od miejscowości i urodzaju. Niniejszy mój cennik ułożyłem jedynie na zasadzie rozgatkowania dopełnionego w Kiachcie, z pomiędzy uznanych za najlepsze gatunków herbaty, przy ostatniej wymianie.

CENNIK HERBATY FUCZAŃSKIEJ

sprowadzanej łądem przez Rossyją i przedawanej podług cen stałych w Magazynie Poczestnego Obywatela W. M. ISTOMINA, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w domu przechodnim Rezlera pod Nr 451, w Warszawie.

HERBATA CZARNA.

San-sinka-Tian-czeju	za funt	Rsr. 1 kop. 50
Familijna-Sin-tun-taj	—	1 — 80
Chumny Mylutan Tasini	inne gatunki	2 —
Chumny czerwony Kofun-ju-an	—	2 — 25
Chumny błękitny Scho-dzun	(dla amatorów)	2 — 50

HERBATA KWIECISTA.

Ju-taj-czo i inne rodzaje	za funt	Rsr. 3 kop. —
Szy-lucha	—	3 — 60
Cha-szen-czu-an bukiet	—	4 —
Liansin Wan-sun-czo	—	5 —
Liansin Sin-fa-jun, aromatyczny	—	6 —

HERBATA ZIELONA.

Funt jeden od 6ciu do 10ciu rub. sr.

HERBATA ŻÓŁTA.

Funt jeden od 6ciu do 15tu rub. sr.

Osoby życzące mieć sobie dostarczoną herbatę z mojego magazynu przez pocztę, nie za przesyłkę nie płacą, lecz opłacając za przesłanie pieniędzy, tak w Królestwie jak i w Cesarstwie. — Nic obiecuję, jak inni handlujący herbatą, odstępować procent i dodawać rabaty, ale natomiast przedawać będę towar sumiennie za dobroć gatunku zaręczam. — Dla osób zamieszkałych na prowincyi starannie będę wysyłać herbatę przez pierwszą odchodzącą pocztę, upakowawszy w mocne skrzynki, dla zabezpieczenia od uszkodzenia w drodze. — Dla kupujących całemi cybikami, herbata dostarczona będzie zupełnie w takim samym stanie, w jakim odebrana została z Chin. — Osobom zamieszkałym na prowincyi, herbatę na Rsr. 1 kop. 50 i na Rsr. 1 kop. 80, magazyn nie odsyła franco, lecz na koszt wypisującego. Upraszam się o wyraźne wypisywanie swego adresu i miejsca pobytu. — Herbata wydaje się z mojego magazynu w paczkach jedno-funtowych, pół-funtowych i ćwierć-funtowych, opatrzonych stemplem wyciśniętym na ołowiu, a cena i waga herbaty wydrukowana jest na samej paczce.

Poczestny obywatel **Wsiewołod syn Maksyma Istomin.**

Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.

W drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 8 (20) kwietnia 1861 r. — Cenzor, Roman Kozicki.

Redakcja przy ulicy Krakowskie Przedmieście w domu PP. Wizytek Nr. 391.